

Stowarzyszenie Absolwentów
Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu

Biuletyn Absolwenta *nr 31*



Chlebem i ciepłym słowem (czyt. str. 17)

Luty 2005

Spis treści

Czas w nauczaniu i wychowaniu	3
Moja praktyka pedagogiczna	6
Wywiad z Karmeną Stańkowską	12
Z życia Uczelni	
Spotkanie Noworoczne	17
Aktualności (przedruki z „Życia Akaemickiego”)	20
Z życia Organizacji	
Spotkanie opłatkowe	22
Wieczór kolęd	22
Honorowy sponsoring	24
Jubileusz 60-lecia „Słonecznej Uczelni”-info	26
Wspomnień czar	
Moje studium wojskowe	27
Strusie jajo	28
Bujny życiorys wuefiaka (15)	32
70-ka Zdzicha i... ..	32
Wspomnienie o nieobecnych	
Bogdan From	37
Listy	38
Fraszki	42

Dyżury w sekretariacie Stowarzyszenia
ul. Paderewskiego 35 (Stadion Olimpijski)
wtorki, godz. od 12.00 do 14.00

Biuletyn Absolwenta (31)

Kolegium redakcyjne:

Antoni Kaczyński, Tadeusz Bober,
Ryszard Jezierski, Krzysztof Słonina

Adres:

Stowarzyszenie Absolwentów
Akademia Wychowania Fizycznego
ul. Paderewskiego 35
51-612 Wrocław
tel. (71) 347-32-19, fax (71) 348-25-27

Internet: strona w budowie
e-mail: sloniou@awf.wroc.pl

Konto bankowe:

52 1020 5242 0000 2902 0114 0680

Ważne telefony (we Wrocławiu)

prezes: Ryszard Jezierski	345-26-43
v-prezes Halina Jezierska	349-42-00
v-prezes elekt: Władysław Kopyś	368-14-44
sekretarz: Marian Klimkowski	357-14-28
skarbnik: Leszek Buczyński	352-40-95
red. biuletynu: Antoni Kaczyński	328-54-48
red. techniczny: Krzysztof Słonina	789-91-40

Czas w nauczaniu i wychowaniu

„Czas to pieniądź” ; Czas leczy rany” , wiele tego rodzaju mądrości życiowych podkreśla wartość i znaczenie czasu, który spożytkowujemy lub marnotrawimy. Wartość czasu znakomicie oddaje sentencja Benjamina Franklina:

„Jedną z najistotniejszych decyzji, jest decyzja,
na co przeznaczyć, w co zainwestować
swoją czas”

Dla pedagogów, wychowawców, rodziców czas ma specyficzną wartość. Nauczanie i wychowanie, to jak wiadomo, dwie strony tego samego medalu. Jest to proces, czyli bieg zdarzeń i działań przebiegających w czasie. Wiadomo ile trzeba czasu (i cierpliwości) aby wychować dziecko, własne lub powierzone naszej opiece. Ile musi wykazać cierpliwości i poświęcić czasu ogrodnik aby wyhodować drzewko, a co dopiero mówić o wychowaniu czy wykształceniu człowieka.

Czas w nauczaniu ruchu, to niezbędna ilość minut, godzin poświęcona na opanowanie jakiejś czynności i jeszcze większa ilość godzin, dni, a nawet miesięcy i lat na jej doskonalenie. Sama czynność jako taka przebiega w określonym przedziale czasowym i na ogół jest tak, że im sprawniejsze wykonanie, tym krótszy czas wykonania, często tak szybki, że uczący się musi zobaczyć tę czynność w zwolnionym tempie lub rozłożoną na sekwencje ruchowe, albo też obserwować jej wielokrotne powtórki.

Uczący się ruchu, zwłaszcza dzieci i młodzież, chcą się uczyć szybko, od pierwszego podejścia. Możół przyswajania nowej czynności nudzi i zniechęca. Mądry i doświadczony nauczyciel uczy pewnych całościowo zamkniętych fragmentów, które da się w miarę szybko (w krótkim czasie) opanować. Tak się uczy określonej gry sportowej – podania, chwytu, kozłowania, a te umiejętności krok po kroku (step by step) łączy się w większe całości, od gier uproszczonych, do gry właściwej. Podobnie przebiega nauczanie innych umiejętności „sportowych” i użytecznych. Dla przykładu w nauczaniu pływania najpierw trzeba trochę czasu aby oswoić się z wodą, następnie nauczyć leżenia na wodzie, wreszcie opanować określone ruchy (style) pływackie i współgrającego z tymi ruchami oddechu. Tego wszystkiego nie da się opanować „naraż”. I tak można mnożyć przykłady z narciarstwa, żeglarstwa, tenisa, prowadzenia samochodu, robienia na drutach, posługiwania się komputerem, czy choćby przyrządzania sałatki.

Współczesne tempo życia nabrało przyspieszenia i to też odbija się na wychowaniu fizycznym i sporcie. Wszyscy chcą się uczyć szybko, łatwo i przyjemnie, bez nadmiernego wysiłku. Metodyka nauczania, czerpiąc z osiągnięć fizjologii, psychologii i innych nauk, wychodzi na przeciw tym

oczekiwaniom i korzysta z wielu udogodnień technicznych – video, komputery, nowoczesny sprzęt, np. krótkie i specjalnie modelowane narty itp. Jednakże nie da się uniknąć wysiłku i cierpliwości (czasu) w dochodzeniu do sprawnego, satysfakcjonującego opanowania jakiejś czynności, umiejętności, obojętnie czy to będzie pływanie, jazda na nartach, gra w tenisa, czy robienie na drutach. Sport traktowany rekreacyjnie uprawiany jest z motywów hedonistycznych, dla przyjemności, a tych przeżyć doznaje się podczas swobodnego pływania, eleganckiej i płynnej jazdy na nartach, celnym zagraniu w koszykówce, tenisie itd. Tego nie osiągnie się bez wielokrotnych powtórzeń, bez przyłożenia się do ćwiczeń, bez poświęcenia na to czasu.

Czas w wychowaniu odgrywa jeszcze większą rolę i wyraźnie coraz bardziej w tej sferze żyjemy „w niedoczasie”. Rodzice nie mają dostatecznie dużo czasu na wychowywanie dzieci, nie mają go na rozmowy z dziećmi, na zainteresowanie się ich problemami. Nauczyciele też funkcjonują w przyspieszonym rytmie. Wiedza przyrasta wręcz w postępie geometrycznym, trudno się połapać w potężnym „szumie informacyjnym”, a do tego dochodzą częste zmiany reformatorskie w systemie oświaty. Brakuje czasu na spokojne przemyślenie i usystematyzowanie wiedzy, informacji, na przystosowanie się do wprowadzanych zmian, na spokojne wprowadzanie ich do praktyki.

Czas jest ten sam co kiedyś i trudno go rozciągnąć, wprawdzie można wiele usprawnić, ale pośpiech w wychowaniu nie popłaca. Przyrastające zasoby wiedzy i nawał informacji powodują coraz większą koncentrację na nauczaniu (przyswajaniu wiedzy), pozostawiając nieco na boku wychowanie. Wprawdzie, jak już wyżej wspomniano, nauczanie i wychowanie, to dwie strony tego samego medalu, jednakże w medalu są to dwie proporcjonalne części. Człowiek wykształcony, dobrze wychowany posiada wiedzę, umie się zachować w określonej sytuacji, a gdy nie wie jak się zachować „niech się zachowa przywoicie”, tak obiegująca myśl głosi. Tej przyzwoitości też się trzeba nauczyć w procesie wychowania.

Zagrożenia czasu wolnego.

Z pozoru brzmi to paradoksalnie, gdyż niemal każdy dąży do tego aby mieć „czas wolny dla siebie”. Z jednej strony jest to czas wolny od pracy, obowiązków, a z drugiej jest to pewna pułapka, gdy nie wiadomo co z tym czasem zrobić. Pojawia się określenie „nerwicy niedzielnej” w odniesieniu do ludzi nie potrafiących zagospodarować wolnego czasu świątecznego. W największym stopniu dotyka ona ludzi samotnych, nie mających żadnego hobby, nie mających pomysłu na aktywne spędzanie wolnego czasu.

Bardzo liczne rzesze młodych ludzi marnuje czas na nic. Zmora osiedli są tak zwani „*blockers*” będący postrachem większości dużych miast.

W małych ośrodkach jedynym pomysłem na „zabicie czasu” (wiele mówiące określenie) są dyskoteki, które powstawały jak grzyby po deszczu w przedziwnych pomieszczeniach; magazynach, kurnikach, stodołach, prowadzone przez goniących za szybkim zyskiem ludzi. Kogo interesuje, w jakich to się odbywa warunkach, czym się tam dodatkowo handluje, jaki jest stopień deprawacji małych lat. Aż zgroza bierze patrzeć na reportaże pokazujące jak po północy nastolatki obracają się w mocno podejrzanym towarzystwie. Gdzie rodzice, gdzie opiekunowie, dlaczego nikt tych małych latów nie rozlicza z tak późnych godzin (czasu) przebywania poza domem. I nie ma się co dziwić mnożącym się przypadkom gwałtów, zabójstw i stawianiu dopiero wówczas pytań „jak mogło do tego dojść”?

Zagospodarowanie wolnego czasu trzeba uczyć w domu, szkole i poza szkołą. Wygodnictwo zapychania czasu telewizją, komputerem nie przynosi dobrych efektów. Na ten temat wiele się pisze, tłumaczy i przekonuje, a efekty są podobne jak z przestrzeganiem o szkodliwości palenia i picia. Najlepiej, gdy od najmłodszych lat potrafi się dziecko czymś zainteresować, rozbudzić w nim jakąś pasję, wciągnąć je w jakieś hobby. Niech to będzie muzyka, modelarstwo, majsterkowanie, kolekcjonerstwo, turystyka lub sport.

Sport, aktywna rozrywka pochłania nadmiar energii psychicznej (i nie tylko), jednocześnie dając szanse osiągnięcia czegoś wartościowego. Nieocenioną wartością jest zdrowie (fizyczne i psychiczne), ale także pozycja w grupie rówieśniczej, imponowanie czymś i pomoc innym – będąc ratownikiem wodnym, narciarskim, harcerzem angażującym się w akcje charytatywne i wiele innych.

W gonitwie dnia codziennego warto „od czasu, do czasu” (!) zastanowić się nad czasem, nad jego wykorzystaniem i marnowaniem. Zmarnowanie czasu w młodości jest okropnym błędem mszczącym się w późniejszych okresach życia – „czego się Jaś nie nauczył, tego Jan nie będzie umiał”. Pożałowania godni są też starsi ludzie, którzy (szczególnie po przejściu na emeryturę) nie umieją sobie poradzić z wolnym czasem. Tego problemu nie mają hobbisci, np. wędkarze, działkowicze, artyści – amatorzy, czy najróżniejsi wolontariusze angażujący się w niesienie pomocy innym poprzez organizacje, instytucje, czy prywatnie – rodzinnie, sąsiedzko.

Warto jeszcze raz zadumać się nad myślą B. Franklina, iż „jedną z najważniejszych decyzji, jest decyzja na co przeznaczyć, w co zainwestować swój czas”. Można go przeznaczyć dla siebie i dla innych, można też zainwestować w siebie, w dzieci, we wnuki, rodziców (gdy wymagają opieki), w organizacje (kombatanckie, charytatywne), stowarzyszenia (choćby takie jak nasze Absolwentów AWF), zespoły (dziecięce, ludowe, regionalne).

Banalne przysłowie, powiedzonko – „czas, to pieniądź”, o ile się nad nim

głębiej zastanowić ma swój głębszy sens. Nie zawsze jest to pieniądź w brzęczącej monecie, ale na pewno jest cenną wartością, której nie warto marnować i trwonić (bez względu na wiek), a warto go zagospodarować i z pożytkiem zainwestować
Czas już kończyć !

Ryszard Jezierski

Moje niecałkiem zwyczajne praktyki pedagogiczne

Krótkie wprowadzenie historyczne

Praktyki pedagogiczne były od zarania naszej uczelni, ale podobnie jak systemy i programy kształcenia ewoluowały. Pionierski pierwszy rocznik praktykował równoległe ze studiowaniem, gdyż na ogół byli to uczący (nie tylko wf-u) w szkołach nauczyciele, którzy zdobywali kwalifikacje i dyplom studiów wyższych. Podobnie praktykowali i zdobywali wykształcenie słuchacze studiów zaocznych (roczniki od 1971 roku gdzieś do początku lat 90-tych), z okresu gdy na studia zaoczne kierowały władze oświatowe czynnych zawodowo nauczycieli. Od paru ładnych lat na studiach stacjonarnych i zaocznych właściwie studiują równi wiekowo i bez żadnego doświadczenia pedagogicznego, więc zrozumiałe jest, że jedni i drudzy odbywają praktyki pedagogiczne.

Były czasy (w latach 70-tych i chyba jeszcze 80-tych), że studenci mieli obowiązek odbycia praktyk na koloniach lub obozach młodzieżowych. Pod koniec „późnego Go-

mółki i wczesnego Gierka” kandydatów na studia obowiązywało odbycie praktyk robotniczych. Zakładano, że przyszli inteligenci powinni poznać trud robotniczej pracy, a robotnicy mieli wpłynąć na świadomość klasową inteligenta. Pomysłodawcom nie bardzo to wyszło, gdyż jak się wkrótce okazało inteligencja zaczęła zakładać KOR, a jeszcze później wspólnie tworzone „Solidarność”.

Aż się prosi, aby uczestnicy praktyk robotniczych, kolonijnych, a także trenerskich i organizacyjnych w WKKF-itach, OSIR-ach itp., opisali swoje doświadczenia.

Moja pierwsza praktyka w Technikum Budowlanym na ul. Komandorskiej

Pierwszą praktykę na drugim roku studiów odbyłem wraz z trzema kolegami, między innymi z Joachimem Ludygą i Mirkiem Łukaszczykiem, w Technikum Budowlanym we Wrocławiu przy ul. Komandorskiej, gdzie dzisiaj mieści się szacowna Akademia Ekonomiczna. Tak, tak ówczesna WSE była małą, rozwijającą się uczelnią, wyzwoloną spod skrzydeł Uniwersytetu, zresztą podobnie jak nasza.

W dyrekcji Technikum nie bardzo orientowano się kto i po co się tam

zjawił, ale po krótkich wyjaśnieniach oddano nas w ręce nauczyciela wf, który przyjął nas z otwartymi rękami, wyraźnie uradowany. Stosunkowo młody, gdzieś około 30 – 35 lat, wysportowany człowiek, mówiący niezbyt poprawnie po polsku okazał się być autochtonem, byłem sportowcem (chyba lekkoatletą), po kursach czy nawet po 2-letniej szkole wf, być może tej samej, której kontynuatorką była nasza WSWF. Powodem jego zadowolenia był fakt, że podobno pilnie musiał wyjechać w jakichś osobistych sprawach do Jeleniej Góry Po jednym czy dwóch dniach przekazywania nam „gospodarstwa” wyjechał „na krótko” i nie było go do końca naszej praktyki.

My, neofici w zawodzie mieliśmy przede wszystkim dużo zapału i dobrych chęci, bo doświadczenia zawodowego żadnego. Chociaż trzeba powiedzieć, że każdy z nas już wcześniej zarabiał na życie i jakieś doświadczenie życiowe miał, jak to ludzie pokolenia wojenno-powojennego. Ja miałem bardzo przydatne doświadczenie z harcerstwa, które w latach 40-tych było bardzo solidnie zorganizowane i prowadzone przez przedwojenną kadrę, stawiającą na samodzielność i sprawność w działaniu. Achim Ludyga, rasowy Ślązak z Piekar Śląskich nie dał sobie nigdy po nosie jeździć i też miał bogaty życiorys, podobnie jak Zagłębiak – Mirek Łukaszczyk z Sosnowca. Stanęliśmy przed niewiele od nas młodszymi uczniami, którzy nie mieli żadnych strojów

sportowych, ostentacyjnie palili papierosy, rozmawiając z nami wychyli ręce w kieszeń, jednym słowem pokazywali nam „kto tu rządzi”. Na sali gimnastycznej panował nieopisany brud i bałagan, nikt nie miał żadnego obuwia sportowego, zajęcia wf sprowadzały się do kopania piłki i to wyjątkowo nędznej jakości. Na sali, od czasu do czasu, jak nam opowiadali, ktoś próbował zagrać w siatkówkę lub w koszykówkę. Piłki były stare, szyte i sznurowane (tam gdzie jest wentyl – to wiadomość dla współczesnych), jednym słowem obraz nędzy i rozpaczy.

Zrobiliśmy naradę – „burzę mózgów”, zastanawiając się jak się ustawić, czy machnąć ręką i pozorować robotę bez „walczenia z wiatrakami”, czy też próbować coś zmienić. Byliśmy młodzi, ambitni i postanowiliśmy nie poddawać się. Wypróbowaną harcerską metodą postanowiliśmy nie walczyć ze wszystkimi, a stawiać na jednostki chętne do gry i do ruchu w ogóle, a takich nigdy nie brakuje. Z zaplanowaną ostentacją „olewaliśmy” kozaków, którzy nadal próbowali trzymać fason i nie dawać się. Z dnia na dzień zyskiwaliśmy zwolenników przyzwyczajonych zajęć wf, tym bardziej, że wychodziliśmy ze skóry aby zajęcia były atrakcyjne. Udało się nam wysprzątać i wyszorować salę gimnastyczną, nie wpuszczać na salę w butach. Gdzieś z zakamarków powyciągaliśmy i odkurzyliśmy maty (z szarego brezentu z morską trawą w środku), zainstalowaliśmy

drażek gimnastyczny, zmontowaliśmy poręczę i doprowadziliśmy do użytku kozła do skoków. Ćwiczeniami na przyrządach zaimponowaliśmy chłopakom, „wypuszczaliśmy” ich robiąc zakłady czy potrafią wykonać te czy inne elementy gimnastyczne. Efekt był zaskakujący, gdyż niemal wszyscy z ochotą uczestniczyli w zajęciach, a nas duma rozpieęła, że daliśmy radę. Nie obyło się bez szeregu zgrzytów, a nawet rękoczynów, jednakże chłopakom ze Śląska i z Sosnowca, bo głównie oni doprowadzali niesfornych do porządku, nie można było jeździć po głowie. Były takie dni, że wychodziliśmy ze szkoły wszyscy czterej razem, bo prowadzili czyhali na odwet. Ostatecznie wszystko poszło gładko, do szkoły pędziliśmy jak na skrzydłach, gdyż robota wręcz nas fascynowała. Po praktyce jeszcze wielokrotnie zaglądaliśmy do szkoły, trochę z musu, bo nie mogliśmy przydybać trudno uchwytnego nauczyciela, aby nam podpisał dzienniki praktyk. Z satysfakcją stwierdzaliśmy, że uczniowie sami organizują sobie przyzwoite zajęcia wf, a co mnie najbardziej cieszyło, to to, że na sali gimnastycznej był w miarę przyzwoity porządek. Kilku z tych uczniów zaczęło trenować w klubach, a z dwoma chłopakami z Sępólna – Adamem i Staszkiem nawet zaprzyjaźniłem się. Z Adamem Ciszewskim często spotykaliśmy się w Zieleńcu, gdzie Adam zorganizował grupę współpracowników ze Stoczni Rzecznej, wykupili chatę,

wyremontowali i postawili wyciąg, tak zwaną wyrwajączkę.

Na tej praktyce przeszliśmy niezły „chrzest bojowy”, tak, że później już właściwie nic nie mogło nas zaskoczyć czy zniechęcić. Niemal każdy rocznik naszych absolwentów uważa się za wyjątkowy i po prawdzie tak jest, choćby przez specyfikę niepowtarzalnego składu osobowego, czy też odmiennych warunków, w których przyszło danemu rocznikowi studiować. W Polsce, jak rzadko w którym kraju warunki społeczno-polityczne zmieniały się co parę lat, a to pociągało za sobą konsekwencje niemal we wszystkich dziedzinach życia. Jednakże wyjątkowość kilku pierwszych roczników polegała na tym, że w wielu sprawach przecierali szlaki i byli „rzucani na głęboką wodę”.

Druga praktyka w Liceum Pedagogicznym w Kłodzku

Z czasem praktyki zostały usystematyzowane – najpierw praktyka wdrożeniowa, następnie w szkole podstawowej, a później w szkole średniej. Myśmy praktykowali tam, gdzie się dało załatwić praktykę, gdzie był kompetentny nauczyciel, a o takich w szkołach podstawowych nie było łatwo.

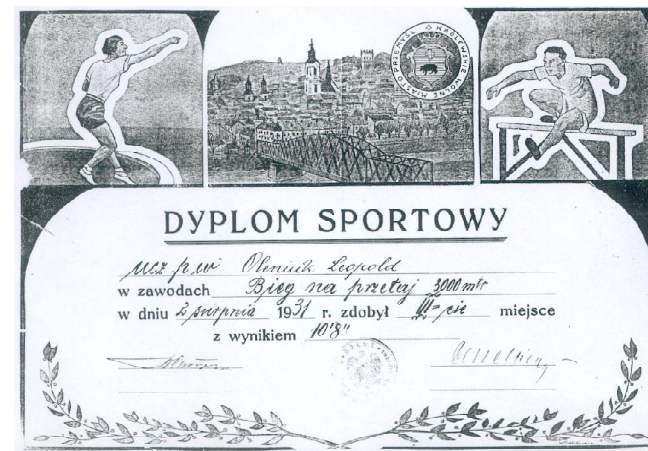
Do Kłodzka pojechaliśmy w sześciu – czterech do LO im. B. Chrobrego i dwóch do Liceum Pedagogicznego na ul. Bohaterów Getta, gdzie później mieściło się Technikum Budowlane, a dzisiaj jakiś zespół szkół. Ja z jednym z kolegów trafiłem do LP, do pana profesora Leopolda

da Oleniuka, wyjątkowego pedagoga, więc o nim kilka zdań.

Profesor Leopold Oleniuk
Postawny, wysportowany, kędzie-

Walecznym i wieloma innymi medalami. Po powrocie do kraju znalazł się w Kłodzku gdzie zatrudnił go dyrektor LP W. Podoliński, ziomek z Sambora. W LP prof. Oleniuk prowadził zajęcia z przysposobienia wojskowego i wychowania fizycznego.

Daj Boże każdemu odbyć praktykę i uczyć się od takiego pedagoga. Spokojny, zrównoważony, ze specyficzną wschod-



rzawy brunet, koło 40-ki, świetnie prezentujący się w angielskim mundurze tak zwanym „battle-dress” (ale zazdrościliśmy mu tego munduru, bo wówczas to był największy szpan). Pochodził z Kresów Wschodnich, dokładnie z Sambora, w którym ukończył Seminarium Nauczycielskie. Był bardzo wszechstronnym sportowcem – lekkoatletą, siatkarzem i piłkarzem, odnoszącym sukcesy na miarę krajową. Przeszedł całą gehennę „wyzwolenia Zachodniej Ukrainy” przez wojska sowieckie, internowania na Węgrzech, następnie szlak bojowy z Armią Andersa, Bliski Wschód, udział w bitwie o Monte Cassino, o Bolonię itd. Po pobycie w Anglii, z Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie wrócił w randze kapitana, z Krzyżem Orderu Virtuti Militari, z 3-krotnym Krzyżem

nio-słowiańską swobodą i poletem, a przy tym z wojskową (w dobrym tego słowa znaczeniu) konsekwencją. Zaangażowany, przygotowany do każdego zajęcia, wymagający rzeczowych konspektów, które miały być pomocnym scenariuszem zajęć, a nie sformalizowanym zapisem wydumanych czynności. Nigdy nie podnosił głosu, a miał autorytet i posłuch, którego zazdrościli mu inni nauczyciele. Oprócz wybitnego talentu pedagogicznego, posiadał duży talent i doświadczenie organizacyjne. Organizowane przez niego imprezy sportowe przebiegały bardzo sprawnie, przy pełnym zaangażowaniu młodzieży, jednym słowem wszystko chodziło jak w zegarku.

Co mi szczególnie utkwilo w pamięci, to jego niekonwencjonalne formy i metody zajęć. Na uczelni

przekazywano nam wzorce oparte na doświadczeniach przedwojennych, na przykład sławetny tok lekcji wg Waleriana Sikorskiego (tok szwedzki), a także na coraz powszechniej lansowanych „wzorach radzieckich”. Według tych wzorców lekcje wf były mocno usportowione, bazujące na gimnastyce, elementach lekkiej atletyki i standardowych grach sportowych. Dużo ćwiczeń porządkowych, schematycznych ustawień do roz-



grzewki i takichże rozgrzewek. Niestety i dzisiaj w wielu szkołach nie wiele jest lepiej.

Profesor Oleniuk prowadził zajęcia można rzec w stylu harcersko-angielskim. Dużo radosnego, a przy tym celowego ruchu, ze szczególnym zwracaniem uwagi na zaangażowanie ćwiczących. A że było to Liceum Pedagogiczne, to cały czas zwracał uwagę na elementy zabawowe, na ćwiczenia kształtujące prawidłową postawę i na zachęcanie do sportów. Do różnych sportów, tych powszechnie uprawianych, jak i nieco zapomnianych jak np. palant. Zachęcił do uprawiania sportu wielu swoich wychowanków i niemal każdego roku kilku z nich zjawiało się

na studiach w WSWF-ie. Wychowankowi prof. Oleniuka, Zdzisławowi Kulmatyckiemu (wuefiakowi ze szkoły przy ul. Bohaterów Getta) zawdzięczam aktualny kontakt i przesłanie przez Profesora materiałów biograficznych.

Miałem duże szczęście i przyjemność współpracować z profesorem Oleniukiem dziesięć lat później w Kłodzku na obozie sportowym dla uczennic LP Wychowawczyń Przedszkoli. Były niegdyś takie licea i znakomicie przygotowywały do pracy w przedszkolach. W programie uczennice miały obowiązkowy 3-tygodniowy obóz wychowania fizycznego, mający na celu z jednej strony usprawnianie (mnóstwo dziewcząt nauczyło się między innymi pływać), a z drugiej strony mający dać podstawy metodyki prowadzenia zajęć ruchowych z dziećmi. Miałem okazję pracować na kilku takich obozach, pierwszym był obóz w Łądku Zdroju gdzie byłem wraz z Bogdanem Czabańskim.

W 1964 roku w Kłodzku kierownikiem obozu był właśnie Leopold Oleniuk, który z miejsca uczynił mnie swoim zastępcą i praktycznie zostawił mi pełną swobodę działania. Jeszcze bardziej utwierdziłem się w przekonaniu, że był znakomitym pedagogiem. Jego doradcze uwagi były niezmiernie trafne, a przy tym zawsze życzliwe i konstruktywne. Potrafił także wysłuchać moich uwag, a gdy były zasadne przyznawał rację i akceptował.

Czasami ma się kontakt z wielo-

ma nauczycielami, którzy właściwie nie zostawiają głębszego śladu, a bywa tak, że trafi się na znakomitą osobowość, od której czerpie się całymi garściami.

Post scriptum: W roku 1999, 11 listopada Władze Kłodzka w dowód uznania dla profesora Leopolda Oleniuka za zasługi wojenne i osiągnięcia pedagogiczne przyznały Mu tytuł „Honorowego Obywatela Kłodzka”
Profesor Jan Markiewicz z LO w Kłodzku

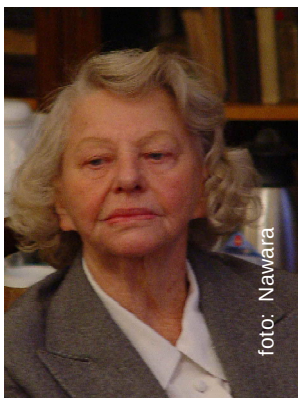
Drugim pedagogiem z Kłodzka, który wywarł na mnie duże wrażenie był prof. Markiewicz uczący wf-u w LO im B. Chrobrego. Absolwent CIWF – AWF w Warszawie, całym sercem oddany sprawie wychowania fizycznego i młodzieży. Wprawdzie praktykę odbywałem w LP u prof. Oleniuka, ale pograć sobie i pobyc w „swojej paczce” chodziliśmy do kolegów z Chrobrego. Prof. Markiewicz każdego dnia do późnych godzin prowadził SKS-y z gier – koszykówki, siatkówki i piłki ręcznej, z lekkiej atletyki i z gimnastyki. Wielu jego wychowanków zasilalo szeregi klubów sportowych i wybierało studia w naszej uczelni. Profesor Markiewicz był mistrzem angażowania uczniów do współprowadzenia zajęć, cały czas był w ruchu (z charakterystycznym podciąganiem spodni i poprawianiem okularów – druciaków), udzielając wskazówek i rad. Kiedyś będąc w Chrobrym na zajęciach SKS mocno zapaliliśmy się do współprowadzenia zajęć, aż z nas parowało. Podszedł do nas

prof. Markiewicz i zapytał: „Czy chcecie być nauczycielami wf?”, oczywiście z zapalem potwierdziliśmy, a on odrzekł: „Chyba nic z tego nie będzie”. Zdziwieni i zaskoczeni stanęliśmy jak wryci i usłyszeliśmy odpowiedź: „Jesteście zanadto spoceni, a spoceni powinni być uczniowie, nauczycielowi powinna się „pocić” głowa.” Tak mi to utkwiło w pamięci, że do dzisiaj brzmi mi w uszach ten głos i w szczegółach widzę sytuację, w której miało to miejsce. Jak wiadomo trwale zapamiętuje się zdarzenia, które dla odbiorcy stanowią mocne przeżycie. Wielokrotnie powtarzałem i nadal powtarzam tę sentencję studentom i nauczycielom na konferencjach i warsztatach metodycznych, dając życiowy przykład, jak nauczyciel ustawia w jednej kolejce wszystkich uczniów do skoku przez kozła, sam z zaangażowaniem asekuje, mocno poci się, a uczniowie wykonując 2 – 3 skoki ani się pocą, ani wyżywają.

Los tak zdarzył, że miałem dwie różne i nie całkiem zwyczajne praktyki i miałem ogromne szczęście spotkać na swojej drodze wspaniałych nauczycieli, doskonałe wzorce do naśladowania. Wielokrotnie reflektowałem się, że robię coś nie tak i natychmiast próbowałem się zastanowić, a jakby to rozwiązał Weinert, Dowgirdowa, czy też Oleniuk lub Markiewicz? Bardzo mi to pomagało i nadal pomaga.

Ryszard Jezierski

Wywiad z dr Karmeną Stańkowską przeprowadzony przez dr Ryszarda Jezierskiego



Dr Karmina Stańska należy do grona osób, które studiowały równocześnie medycynę i wychowanie fizyczne, jest więc zarówno lekarzem, jak i „wuefiakiem”, a Jej pasją jest żeglarsstwo – posiada wysoki stopień kapitana żeglugi jachtowej.

Nauka w Liceum i studia w AM oraz SWF

- Karmeno, zanim rozpoczęłaś studia na dwóch kierunkach równocześnie, chodziłaś do szkoły średniej, zdawałaś maturę – gdzie?

- Uczęszczałam do I LO we Wrocławiu przy ul. Poniatowskiego. Przyjechaliśmy z mamą z Bydgoszczy, a właściwie spod Bydgoszczy, ze wsi Koziejaty. W czasie okupacji zostaliśmy wysiedleni z naszego domu w Bydgoszczy i przebywaliśmy na wsi, a po wojnie mieszkanie to było zajęte przez inne rodziny, trzeba więc było szukać miejsca gdzieś w Polsce. Do Wrocławia ściągnął na, moją mamę i mnie, ukochany wujek prof. Seweryn Wysłouch, który był wykładowcą na Uniwersytecie Wrocławskim na Wydziale Prawa. Był to rok 1947. Maturę zdawałam z wieloma osobami, które później studiowały na wf-ie, m.in. Adaś Piechura, Mieciu Drozd i inni.

Egzamin wstępny zdałam na medycynę i studia nawet nieźle mi szły, ale zaraz na początku studiów zmarła moja mama, ojciec nie przeżył wojny, więc zdana byłam tylko na własne siły. Na studiach medycznych zetknęłam się z prof. A. Klisieckim, który był kierownikiem Katedry Fizjologii i nasz „Dziadzio: uświadamiał nam od samego początku, że zdrowie to słońce, woda powietrze itd. Jako kierownik Studium WF przy AM namówił grupę medyków na podjęcie studiów wychowania fizycznego. Jeden rocznik SWF już funkcjonował, a my byliśmy drugim rocznikiem i było nas sporo, bo ok. 30 osób.

- Ta grupa 30 osobowa to tylko medycy?

- Tak, oprócz nas było jeszcze kilkadziesiąt osób innych. Z tej grupy wyłoniło się potem dosyć dużo zdolnych i aktywnych lekarzy sportowych, funkcjonujących w całej Polsce.

Sport – żeglarsstwo

- Jak trafiłaś do sportu, do uprawiania żeglarsstwa?

- Do sportu żeglarskiego nie trafiłam od razu, bo najpierw grałam w tenisa, jeździłam konno, uprawiałam taternictwo różnymi rezultatami. Z moimi dwiema koleżankami, które również studiowały medycynę tworzyłyśmy po wojnie taką pierwszą „babską trójkę” chodzącą samodzielnie po górach. Niektóre, nawet trudne wspinaczki dosyć dobrze nam wychodziły.

- Taternictwo nie było przeszkodą w studiach?

- Nie, na wykłady i ćwiczenia uczęszczałam regularnie. Na zajęcia chodziłam razem z moim psem Bacą, którego wszyscy znali i tolerowali. Często Baca przybiegał na AM lub na Witelona i szukał mnie. Pod koniec studiów zaczęłam pracować jako wolontariuszka u prof. Marciniaka, na anatomii i tam starsi koledzy namówili mnie abym zjawiła się na przystani żeglarskiej i spróbowała wraz z nimi szkolić się i żeglować.

- Z tego co wiem, z czasem zaczęłaś pływać sportowo i startować w regatach?

- W tamtych czasach żeglować można było tylko na jeziorach, morze było zamknięte dla żeglarzy, więc żeby uatrakcyjnić sobie żeglarsstwo zaczęliśmy organizować regaty i w tym kierunku prowadzić treningi. Zaprawę sportową dla żeglarzy prowadził na Sali kolega gimnastyk Włodek Wompel. Żeglarsstwo regatowe zaczęło się nieźle rozwijać, startowaliśmy w coraz poważniejszych zawodach z udziałem innych klubów, np. Śląska Wrocław, AZS Poznań itd.

- W samym Wrocławiu nie ma większego akwenu do uprawiania żeglarsstwa, a mimo to żeglarsstwo się rozwijało.

- Trenowaliśmy na Odrze, na „Bajkale” (jezioro na wschód od Wrocławia), a regaty najczęściej organizowaliśmy na zimowisku barek na Osobowicach.

- No i zaczęłaś wypływać jako zawodniczka na coraz szersze wody.

- Brałam udział w Akademickich Mistrzostwach Polski, w Mistrzostwach Polski Kobiet i to z nie najgorszymi rezultatami.

- Twoją koronną konkurencją były starty w klasie „FIN”.

- Tak, z początkowych startów na jachtach wieloosobowych przesiadłam się na łódkę jednoosobową czyli „Fina”. Bardzo mi to odpowiadało. „Fin” jest wspaniałą łódką, czuła jak skrzypce, świetnie mi się na niej pływało.

- Zostańmy jeszcze przy żeglarsctwie. Ku końcowi kariery sportowej, zaczęłaś wypływać na morza i oceany i zdobywać coraz wyższe stopnie i kwalifikacje żeglarskie.

- Po tak zwanych stalinowskich czasach morze stawało się coraz bardziej otwarte dla żeglarzy, więc i ja zaczęłam z tego korzystać.

Rejs do Narwiku

- Był jakiś charakterystyczny moment, czy postać, która Cię pociągnęła w świat.

- Był taki znaczący dla mnie rejs do Narwiku. Płynęły dwa jachty „Zew Morza” i „Mariusz Zaruski”, na każdym po trzydzieści osób załogi, typowej przez PZZ, w tym tylko dwie kobiety, po jednej na każdym z jachtów. Kpt. Hebel dowodzący „Mariuszem Zaruskim” powierzył mi funkcję lekarza, mimo, że nie miałam jeszcze pieczętki lekarskiej.

Był to bardzo wzruszający rejs, bo daleka północ, zorze polarne, no i szliśmy śladem Brygady Strzelców Podhalańskich. Dopłynęliśmy do fiordu, gdzie został zatopiony niszczyciel „Grom”, tam też wrzuciliśmy wiązanę kwiatów. Na cmentarzu pod Narwikiem i w Narwiku złożyliśmy urnę.

Gdy wróciłam z tego rejsu, byłam już w dużym stopniu doświadczonym żeglarzem, tym bardziej, że pierwszy oficer wybrał mnie na asystenta nawigatora i mogłam bliżej poznać ówczesny sposób nawigowania. Po powrocie z tego rejsu przystąpiłam do egzaminu na stopień sternika morskiego i po kilku latach, kolejnych rejsach przystąpiłam do egzaminu na stopień kapitana jachtowego żeglugi wielkiej.

- Aby awansować i zdobywać coraz wyższe stopnie, to trzeba było się natrudzić, przygotować do egzaminów itd.

- O tak. Wówczas były dwa stopnie kapitańskie: pierwszy to tzw. „kapitan małosołny” tzn. uprawniający do pływania po Bałtyku i Morzu Północnym, drugi to kapitan jachtowej żeglugi wielkiej – uprawniający do prowadzenia jachtów bez ograniczeń.

- O swoich przygodach związanych z żeglarstwem i pływaniem po całym świecie mogłabyś opowiadać właściwie bez końca. O ile można to proszę przynajmniej o kilka najbardziej zapamiętanych.

- Muszę powiedzieć, że znam świat, ale od strony brzegów. Zawsze brakowało czasu na zapuszczanie się w głąb lądów, na zwiedzanie różnych kontynentów i krajów. Gdy np. byliśmy w Australii, naszą klubową „Panoramą”, z klubową AZS załogą, to zdążyliśmy poznać tylko kawałek zachodniego wybrzeża.

Rejsy z kpt. Krzysztofem Baranowskim

- Pływałaś do obu Ameryk, nie mówiąc o Afryce a wraz z Krzysztofem Baranowskim płynęłaś z młodzieżową załogą gdzieś do dalekiej Azji.

- Płynęliśmy do Indii, Sri Lanki, na Maledywy, Seszele – to obszar Oceanu Indyjskiego.

- Warto wspomnieć, że Baranowski wcześniej samotnie opłynął świat i był twoim wychowankiem.

- Należał on do grupy tzw. „szpikuli”, którzy bardzo rozrabiali na przystani chcąc możliwie szybko awansować w hierarchii żeglarskiej. Były to czasy, gdy wspólnie wyjeżdżaliśmy na żagle, na narty, po prostu była to taka zgrana paczka, dobra ferajna. Wśród nich był Krzysio, student Politechniki Wr., który skończył elektronikę i na dalsze studia dziennikarskie wybrał się do Warszawy. Wcześniej żeglowaliśmy razem na regatach, później był ze mną na ciekawym rejsie, ciekawym z uwagi na obszar żeglowania i przygody,



foto: Nawara

jakie przeżyliśmy. Popłynęliśmy do Goeteborgu na „stuczterdziestce” (mowa o powierzchni żagli). Silny sztormowy wiatr wepchnął nas do fiordu i nie mogliśmy z niego wyjść na zbyt słabym silniku. Załoga chyba właśnie z Krzykiem na czele zdobyła gdzieś w mieście dosyć prymitywne mapy i zaczęli mnie namawiać abyśmy poszli kanałami i jeziorami w poprzek Półwyspu Skandynawskiego. Niewiele namyślając się ruszyliśmy. Popłynęliśmy pod duży most z szeroką jezdnią, który został podniesiony, abyśmy mogli przejść i już nie było odwrotu. Płynęliśmy fordewindem sunąc ostro do przodu, po tych niezbyt szerokich kanałach obawiając się

tylko, aby przypadkiem nie zawadzić masztami o linie wysokiego napięcia gęsto tam rozsiane. Dotarliśmy do jednego zespołu jezior po drodze pokonując śluzy, które sami musieliśmy otwierać i zamykać kręcąc ogromnymi kołami. Prawie przebiliśmy się w poprzek Szwecji aż tu nagle na ostatniej śluzie – stop. Policja, światła, rwetes itd. Okazuje się, że absolutnie nie wolno tędy przepływać. Droga strategiczna i trzeba mieć specjalne zezwolenie. No i co tu dalej robić? Przypomniałam sobie, że kiedyś płynąc do Narwiku poznałam kpt. Hansena a ponieważ byłam jedyną kobietą w załodze byłam zabierana na oficjalne przyjęcia. Na takim przyjęciu poznałam właśnie kpt. Hansena, który był szefem ratownictwa wodnego na Zachodnim Wybrzeżu Szwecji. Skorzystałam z tej znajomości i powiedziałam policji, że byłam w biurze kpt. Hansena i nikt nam nie powiedział, że tędy nie wolno płynąć. To właściwie było prawdą, bo czekając w Goeteborgu na spokojniejszy wiatr poszłam do biura kpt. Hansena ale jego nie było, więc poprosiłam sekretarkę o przekazanie pozdrowień i zostawiłam dla niego kartkę. Zrobiło

to jakieś wrażenie na policji, bo potraktowali nas bardzo łagodnie a nawet wzięli na hol i silną motorówką wyprowadzili na pełne morze. Do dzisiaj jestem im wdzięczna, bo nie wiem czy przy wzbierającym silnym wietrze sztormowym wypłynęliśmy o własnych siłach.

Szkola pod żaglami

- Takich i temu podobnych przygód miałaś wiele. Wspominaliśmy wcześniej o żeglowaniu z K. Baronowskim do Indii, to chyba był ten dość znany rejs szkoleniowy z młodzieżą szkolną i z tego, co wiem pełniłaś tam kilka funkcji jednocześnie.

- Był to jeden z oryginalnych pomysłów Krzysztofa, który wpadł na pomysł zorganizowania takiej akcji, gdzie podczas rejsu młodzież będzie uczyła się jak w szkole. Żeglować mieliśmy do różnych krajów, poznać różne rejon świata, różne kultury itd. Nazwał tę akcję „Szkolą pod żaglami”.

Udało mu się przekonać odpowiednie władze, skompletować kadrę, która będzie szkolić i uczyć określonych przedmiotów szkolnych. Wybrano chłopców w wieku drugiej klasy liceum, aby realizować jednolity program. Na apel Baronowskiego zgłosiło się ponad 2 tys. Młodzieży, z tego wybrano 30 chłopców, gdyż w wyznaczonych kryteriach nie zmieściła się żadna dziewczyna.

Krzysztof namówił mnie na ten rejs, a ja chętnie z tej propozycji skorzystałam, bo właśnie wtedy zmarł mój mąż, więc na te wszystkie zmartwienia i kłopoty taki rejs był w sam raz. Popłynęłam jako oficer, jako lekarz i wykładowca języków obcych oraz biologii.

- **Żartem mówiąc obsadziłaś kilka etatów.**

- Na jachcie tak bywa, że wszyscy robią wszystko

- **Jak oceniasz ten swoisty eksperyment?**

- Była to bardzo udana lekcja, która znalazła naśladowców w innych krajach – w Wielkiej Brytanii, Kanadzie. Później próbowano organizować międzynarodową szkołę pod żaglami. Najbardziej udany był ten nasz rejs. Płynęliśmy dookoła Afryki, odwiedzając po drodze do Indii wiele interesujących krajów, m.in. Wyspę św. Heleny. Program pobytów mieliśmy dobrze przygotowany, byli ludzie, którzy załatwiali nam odpowiednie patronaty, przewodników itd. W ten sposób można było bardzo dużo zobaczyć i przeżyć.

- **To była najbardziej udana „lekcja geografii”, a także i „wuefu”, gdyż ruchu młodym ludziom na jachcie nie brakowało. Ciekawe musiały też być obserwacje socjologiczne. Z tych ludzi chyba wyrosli później dobrzy żeglarze?**

- Chyba tak im dopiekił ten rejs, że nie wyrosli z nich żeglarze. Należy sobie uświadomić, że mieli po 6 godzin wachty pokładowej 4 godziny w nocy 2 godziny w dzień plus 6 godzin zajęć lekcyjnych dzień w dzień z niedzielami

włącznie. Trzeba było maksymalnie wykorzystywać czas, żeby w portach mieć wolne i coś zwiedzić. Byli więc niedospani, przepracowani i do tego musieli się pilnie uczyć. Dostali od nas świadectwa ukończenia drugiej klasy ale wiele szkół niedowierzało i po powrocie robiono im dodatkowe egzaminy zaliczeniowe.

- **Mówiąc dalej o żeglarstwie nie sposób wspomnieć o Twoich zasługach dla rozwoju żeglarstwa na naszej Uczelni. Na ten temat jest już trochę wiadomości w dotychczasowych opracowaniach, a w tej chwili przygotowana jest okazjonalna książka na 40-lecie Oleśnicy, gdzie podkreśla się Twoje zasługi w tej dziedzinie. Czy chciałabyś do tego jeszcze coś dodać?**

- Nigdy nie przestałam być lekarzem i pracownikiem naukowo-dydaktycznym. Wszystko, co robiłam zawsze musiało odpowiadać kilku moim zainteresowaniom życiowym. To, że mogłam popłynąć w 9 miesięczny rejs z K. Baronowskim zawdzięczam Uczelni, która udzieliła mi okolicznościowego urlopu naukowego. W czasie rejsu przeprowadzałam wcześniej przygotowane badania, pisząc później wiele publikacji do fachowych czasopism krajowych i zagranicznych. Były to bardzo wartościowe wyniki badań, bo trudno sobie wyobrazić bardziej jednorodną grupę pod względem płci, wieku, przebywającą w tych samych warunkach, to samo jedzącą, podlegającą tym samym zagrożeniom zdrowotnym, klimatycznym, itp.

- **Wymarzona grupa do badań i obserwacji socjologicznej.**

- No właśnie m.in. na prośbę psychologów z AWF gdańskiego przeprowadziłam trzykrotnie w ciągu rejsu specjalne testy psychologiczne i po rejsie całość tych materiałów przekazałam do gdańskiego AWF.

Cdn.

Z życia Uczelni

Chlebem i ciepłym słowem

Kolejne spotkanie JM Rektora prof. Tadeusza Koszczyca z Seniorami Uczelni odbyło się 12 stycznia 2005 roku w urokliwym Klubie Muzyki i Literatury przy pl. Kościuszki we Wrocławiu.

Ciepłym słowem powitał zebranych JM Rektor, życząc z Nowym Rokiem 2005 pomyślności, a przede wszystkim zdrowia i dobrego samopoczucia. Z wiekiem sprawa zdrowia wysuwa się na plan pierwszy. Z uwagi na niedomogi zdrowotne kilka osób nie mogło uczestniczyć w spotkaniu, przesyłając telefonicznie, na ręce Rektora, pozdrowienia i życzenia Koleżankom i Kolegom oraz Władzom Uczelni. Mimo najszczerzych chęci nie przybyli: doc. Zofia Dowgird, prof. Julian Jonkisz, dr Jan Bąkowski, dr Bogdan Berezecki, dr Jerzy Fidziński, dr dr Krystyna i Czesław Świerczyński.

Chlebem – staropolskim bochnem, pieczonym według dawnej receptury przez piekarnię „Dobry Chleb” przy ul. Henryka Pobożnego, obdarował Seniorów JM Rektor. Chleb jest wyjątkowo smaczny, wręcz pyszny, zachowujący długo świeżość, z wierzchu posypany makiem i innymi ziarnami. Był to sprawdzony już pomysł dr Henryka Nawary, który od lat współpracuje z p. Stefanem Plackiem, Kierownikiem Klubu, niegdyś szefem naszego „Akademika”, gdy mieścił się w PDT-cie na Podwalu. Pan Placek wyrecytował wzruszający wiersz o chlebie i każdemu wręczył okolicznościowy tomik wierszy „Okruchy chleba w poezji”

Oto trzy krótkie cytaty z tego tomiku:

Umiłowanie ty moje

Lubię, gdy siedząc przy stole
Sięgasz po kromkę chleba
I dzieląc ją dajesz mi częśćkę,
czy trzeba mi, czy nie trzeba....

Jan Kasprowicz

Wstań, o dziecię

Wstań, o dziecię ! Idź na pole,
Gdzie pot ludu wsiąka w rolę,
Gdzie pod jasnym naszym niebem
Kłosa brzęczą żytym chlebem....

Maria Konopnicka

Moja piosnka

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie
Dla darów nieba...
Tęskno mi, Panie...

Cyprian Kamil Norwid

Spotkanie przebiegło w miłej atmosferze, przy kawie, herbacie i ciasteczkach. Wzniesiono również toast symboliczną lampką szampa. JM Rektor krótko zrelacjonował co się dzieje na Uczelni, jakie są najbliższe plany rozwoju i rozbudowy. Wspominał o przystąpieniu do budowy na Stadionie Olimpijskim kolejnej hali sportowej (na potrzeby sportów walki) i okazałego pawilonu dydaktyczno-leczniczego dla Wydziału Fizjoterapii. Zachęcał też do odwiedzania Uczelni, w tym Centrum Historii AWF – w Pawilonie 3 im .

prof. Andrzeja Klisieckiego, tuż za nową halą sportową i krytą pływalnią.

Retrospekcyjne wspomnienia snuli Seniorzy, między innymi dr J. Chodemicka wspominała jak przed laty prowadziła wraz z p. S. Plackiem i kilkoma współpracownikami z Uczelni kolonie nad morzem. Dr Stanisław Maksymowicz, jak zwykle bardzo barwnie opisał weselisko swojego syna (dziś lekarza), które odbyło się w Klubie u p. S. Placka, a młodzi od Katedry do pl. Kościuszki przejechali bryczką zaprzęgniętą w dwa dorodne siwki.



foto: Nawara

Dr A.Kaczyński zapamiętał spotkanie sprzed kilku laty u p. Placka, z okazji rocznicy śmierci Marszałka Józefa Piłsudskiego, na którym chór wileńskich Akowców, w tym i on, śpiewał legionowe pieśni.

Ktoś przypomniał odbyte przed dwoma, czy trzema laty przesympatyczne spotkanie pracowników i studentów Naszej Uczelni z prof. Janem Miodkiem i wiele innych anegdot, które jak żywe wracały we wspomnieniach.

Poruszono także temat zbliżającego się jubileuszu 60-lecia Uczelni. JM Rektor zachęcał do udziału w różnych imprezach, które będą się sukcesywnie odbywać. Kulminacją będzie zjazd absolwentów w Hali Ludowej w dniu 16 września 2006 roku. Zapraszając na jubileusz, Rektor obdarował zebranych koszulkami z okolicznościowym nadrukiem 60-lecia i bardzo udanym kalendarzykiem z logo Uczelni.

Dr H. Nawara wykorzystując unikalny, bogaty zbiór cytr zdobiących ściany Klubu, przeprowadził zaskakujący eksperyment akustyczny. Poprosił zebranych, aby jednocześnie wznieśli głośny okrzyk, po którym zabrzmiało melodyjne echo. Te zabytkowe instrumenty jakby posiadające duszę,

wydały zwolna zamierające westchnienie strun. Zafascynowane zjawiskiem grono z zapalem powtórzyło eksperyment.

Wszyscy zgodnie stwierdzili, że tego rodzaju spotkania Seniorów z Rektorem i Władzami Uczelni powinny wpisać się na stałe w kalendarz jako składową tradycję Uczelni. Wszystko na to wskazuje, że tak się będzie działo.

W spotkaniu uczestniczyli:

prof. Tadeusz Bober

prof. Bolesław Buła

dr Jadwiga Chodemicka-Zabierek

dr Maria Grabowska

dr Emilia Hornowska- Gronowicz

prof. Ewaryst Jaskólski

dr Antoni Kaczyński

dr Tadeusz Krizar

dr Zbigniew Lewandowski

dr Stanisław Maksymowicz

prof. Zbigniew Naglak

dr Bolesław Słupik

dr Karmena Stańkowska

mgr Janina Trojanowska-Naorniakowska

mgr Kazimierz Władyka

współorganizatorzy:

dr Ryszard Jezierski

dr Henryk Nawara

mgr Stefan Placek

mgr Elżbieta Radziwon

Ryszard Jezierski

Wielkie żeglarstwo znad małej wody

Niedawno Ośrodek Dydaktyczno-Sportowy w Olejnicy obchodził swoje 40 urodziny. Wspominamy dwa pierwsze jachty typu "Pirat", na których rozpoczęliśmy szkolenie studentów jeszcze na jeziorze Olejnickim. Pamiętamy przeniesienie sprzętu żeglarskiego na drugą stronę mostu, na jezioro Górskie, gdzie kadra żeglarska i studenci karczowali teren i stawiali pierwszy hangar. Dzisiejsza Przystań Żeglarska wraz z pomostami stanowi znakomite zaplecze do nauczania i uprawiania sportów wodnych.

Inicjatorami wprowadzenia żeglarstwa jako przedmiotu nauczania na obozach letnich byli wybitni żeglarze, głównie z kręgu AZS. Zapaleni studenci



ambitnie przystąpili do uzyskiwania kolejnych stopni żeglarskich i instruktorskich. Ówczesne obozy trwały znacznie dłużej, pozwalały na gruntowniejsze przyswojenie umiejętności żeglarskich. Każda załoga uczestniczyła co najmniej w jednym całonocnym rejsie na rozległe i wietrzne jezioro Wieleńskie. Aby tam się dostać, należało położyć maszty i wlać sporo wody do kokpitu, żeby przecisnąć się pod niskim mostkiem. Były to niesamowite przeżycia...

Obecny program obozów ogranicza zajęcia z żeglarstwa do kilkunastu godzin, a tym samym – akwen do szkolenia, którym jest tylko jezioro Górskie. Efekt naszego działania jest pokaźny. Tylko w minionym sezonie żeglarskim 37 studentów uzyskało stopień żeglarza jachtowego, 9 sternika jachtowego i 5 instruktora żeglarstwa PZŻ. Osiemnaście osób pływało w rejsach pełnomorskich. Przy liczącym ponad 70 osób uczelnianym klubie żeglarskim "Thor" powstało koło regatowe skupiające studentów zainteresowanych żeglarstwem sportowym. Startują na organizowanych przez nas w Olejnicy regatach o Puchar JM Rektora AWF i regatach o Puchar Kpt. Karmeny Stańkowskiej oraz na Odrze, m.in. w regatach o Puchar Prezydenta Wrocławia czy w regatach o Puchar Prezesa Wrocławskiego Okręgowego Związku Żeglarskiego. Mają również szanse zaprezentować się na imprezach zaliczanych do Ligi Międzyuczelnianej.

Tak więc nasza Olejnicka Przystań dla wielu jest oknem, a właściwie bulajem, na szerokie wody świata.

Karmena Stańkowska, Stanisław Guz

Hołd pamięci Profesora Andrzeja Klisieckiego

19 października br. – w przeddzień uroczystości obchodów Święta Uczelni – JM Rektor prof. Tadeusz Koszczyc wraz z prorektorami: ds. nauki i współpracy z zagranicą – prof. Markiem Woźniewskim, ds. nauczania – prof. Krystyną Zatoń, ds. studenckich i sportu akademickiego – prof. Juliuszem Migasiewiczem, oddali hołd pamięci Pierwszego Rektora naszej Uczel-



ni, prof. Andrzeja Klisieckiego, zapalając znicze i składając wiązanki kwiatów.

Warto przypomnieć, że dzień obchodów Święta Uczelni, ustanowiony w zeszłym roku przez Senat – 22 października – to dzień urodzin prof. Klisieckiego.

Z życia Organizacji

Spotkanie opłatkowe

Mamy już swoje tradycje i do takich należy grudniowe spotkanie opłatkowe. Stałym miejscem spotkań jest Dwór Polski. 14 grudnia 2004 roku zebraliśmy się tam, aby w naszej wuefiackiej rodzinie życzyć sobie wiele radości, miłości, szczęścia i zdrowia, pełnych świątecznego nastroju dni Bożego Narodzenia i dobrego startu w Nowy Rok.

Spotkaliśmy się w bardzo licznym gronie, po raz pierwszy ponad 120 osób, co było dla nas ogromnym zaskoczeniem. Tym razem nieco to zdezorientowało przemianą obsługę. Dla wszystkich wystarczyło śledzików i barszczu, ale przynajmniej, zamieszania nie dało się uniknąć. Pomni ostatnich doświadczeń chcemy wprowadzić nowość do naszych grudniowych spotkań, a mianowicie potwierdzenie przybycia na tą naszą wigilię.

Już dziś co prawda zapowiadany termin 13 grudnia 2005 ale informacji o przyjściu oczekiwać będziemy 2 tygodnie przed ustalonym terminem. Forma potwierdzenia może być dowolna – telefonicznie do naszego biura lub któregoś z członków Zarządu, e-mailem, korespondencyjnie etc. Ułatwi to nam bardzo organizację i nie będzie budziło obaw o brak miejsca dla osób, które przybędą.

W jesiennym Biuletynie przypomnimy termin i formę zgłoszenia.

Halina Jezierska

Wieczór kolęd

Zachęceni ogromnym zainteresowaniem, jakim cieszyło się spotkanie opłatkowe w grudniu ubiegłego roku, o czym świadczyła frekwencja – ponad stuosobowa, postanowiliśmy pójść za ciosem. Tym razem inicjatorem był wiceprezes-elekt Władek Kopyś, który i tym razem okazał się nieza-

wodnym „szampańskim” sponsorem. Przybyłych witała w „Litewskiej Sali” zawsze gościnny Dwór Polski, rozjarzona kolorowymi lampkami okazała choinka i najważniejszy rekwizyt wieczoru – biały fortepian.

Prezes Ryszard Jezierski, jak zwykle w ciepłych słowach powitał zebranych apelując, aby tym razem Koleżeństwo nie zamykało się w ciasnych kumoterskich gronach, ale nastawiło się na wspólne kolędowanie. Najpiękniejsze w świecie polskie kolędy, związane nierozzerwalnie z tradycją wigilijnego stołu, łamaniem się opłatkiem, pasterką, są z nami od najmłodszych lat.

Po toaście wzniesionym szampanem za wszelką pomyślność w Nowym Roku, gospodarz spotkania poinformował zebranych o ustalonym terminie zjazdu absolwentów – Wielkiego Balu w Hali Ludowej z okazji 60-lecia „Słonecznej Uczelni” - 16-go września 2006 roku, na który już dziś wszystkich zapraszamy do uroczystego poloneza na tysiąc par.

Po tym krótkim wstępie, przystąpiono do głównego punktu programu – kolędowania. Do fortepianu zasiadł Romek Wajler, absolwent Naszej Uczelni z 1966 roku, nota bene wzorem wielkich poprzedników, jak np. Bach, też od pewnego czasu organista w kościele we Wrocławiu na Muchoborze Małym. Z klawiatury popłynęły jakże znajome akordy, jednej z piękniejszych kolęd – „Wśród nocnej ciszy”, podchwyciona przez wszystkich, zabrzmiała zgodnym chórem. Po niej popłynęły inne kolędy i pastorałki, tak przez ponad dwie godziny. Prym jak zwykle wodził prezes, w towarzystwie wokalnego aktywu – Krystyny Stachowskiej, Mili Wacht-Wojciechowskiej, Eli Jezierskiej, Janusza Pietrzyka i innych. Oni „dawali głos” i rzadzili repertuarem. Obiegowa opinia o rozśpiewanych Polakach, ale tylko w pierwszych zwrotkach, tym razem nie sprawdziła się. Większość śpiewała kolędy „od deski do deski”, rzadko podpierając się ściągami.

Wieczór trwał aż do wyczerpania repertuaru i strun głosowych. Po ostatnich akordach nieustrudzonego maestro nagrodzono rzęsistymi brawami. Gratulując mu wirtuozerii, wyraziłem się, „że gimnastykiem był średnim, za to organistą przednim”. Spełnione wokalnie towarzystwo zajęło się konsumowaniem kawy, herbaty i pysznych firmowych ciastek oraz jak zwykle pogaduszkami.

Był to urokliwy, niezapomniany wieczór, pod koniec którego zgodnie uchwalono aby „Wieczór kolęd” na stałe włączyć do kalendarza spotkań Stowarzyszenia.

Antoni Kaczyński

Honorowy sponsoring

Honorowa lista dotychczasowych sponsorów

Rok 1999 dyplom złoty

indywidualne Bogdan Ostapowicz
Władysław Kopyś
instytucje Dwór Polski - Józef Dziąsko

Rok 2000 dyplom srebrny

indywidualne Adam Stocki

Rok 2000 dyplom brązowy

indywidualne Kazimierz Kurzawski
Jerzy Kosa
Stanisław Rosołowski
Elżbieta Kubacka
Eugenia Ostapowicz
Stanisław Rażniewski
Ferdynand Wedler
Bogdan From

Rok 2001 dyplom złoty

indywidualne Jerzy Podborowski

Rok 2001 dyplom srebrny

indywidualne Eugenia Ostapowicz

Rok 2001 dyplom brązowy

indywidualne Cenia Wieszcza
Roman Proszowski
Józef Kopeć

Rok 2002 dyplom złoty

indywidualne Bogdan Ostapowicz
Władysław Kopyś

Rok 2002 dyplom brązowy

indywidualne Zbigniew Lipiński
Kazimierz Sojka

Rok 2003 dyplom złoty

indywidualne Eugenia Ostapowicz
Bogdan Ostapowicz

Rok 2003 dyplom srebrny

indywidualne Elżbieta Kubacka
Adam Stocki

Rok 2003 dyplom brązowy

indywidualne Józef Kopeć
Jan Połatajko
Kazimierz Sojka
Eugeniusz Rolewski
Grzegorz Freus
Edward Hyla
Albin Czech
Roman Proszowski
Bogdan From

Rok 2004 dyplom złoty

indywidualne Eugenia Ostapowicz
Bogdan Ostapowicz
Leszek Dębicki
Eugeniusz Drozd

Rok 2004 dyplom srebrny

zespołowe Jubileuszowy rocznik 1954-58

Rok 2004 dyplom srebrny

indywidualne Eugeniusz Rolewski
Kazimierz Wysmyk
Adam Stocki
Pelagia Suntajs

Rok 2004 dyplom brązowy

indywidualne Elżbieta Kubacka
Józef Kopeć
Rafał Wołk
Roman Proszkowski
Ryszard Helemejko
Cenia Wieszcza
Zbigniew Lipiński

**Stowarzyszenie Absolwentów AWF
apeluje o wspieranie finansowe
działalności statutowej**

klasy sponsorów	osoby prywatne	instytucje
brązowa	100 PLN	300 PLN
srebrna	300 PLN	600 PLN
złota	500 PLN	1000 PLN

Sponsorzy otrzymają honorowy dyplom a ich nazwiska (za zgodą) będą umieszczone w Biuletynie. Wpłacać można na konto: 52 1020 5242 0000 2902 0114 0680 lub w sekretariacie podczas dyżurów lub w klubie na specjalnych spotkaniach wtorkowych.

Jubileusz 60-lecia „Słonecznej Uczelni”

Jest już ustalona data uroczystych obchodów 60-lecia – **16 września 2006r.**

Będzie:

- akademie w teatrze,
 - spotkania z Władzami i pracownikami Uczelni,
 - spotkania rocznikowe,
 - imprezy sportowe,
 - zwiedzanie Uczelni, a jest co zwiedzać,
 - no i oczywiście...bal w Hali Ludowej ! Tak ! tak !, to prawda.
- Planowane zamierzenia i wizja udanego zjazdu spełnią się, gdy Koleżanki i Koledzy z chęcią włączycie się do przygotowań i zechcecie gremialnie uczestniczyć w naszym uczelnianym święcie.
- Oczekujemy uaktywnienia się starostów grup i roczników, inicjatorów tak zawsze udanych spotkań i zjazdów rocznikowych.
- Oczekujemy propozycji:
- * spotkania z Władzami i pracownikami Uczelni – kto ?, z kim ? chce się spotkać,
 - * spotkania rocznikowe – kto ? i gdzie ? zorganizuje rocznik, („nasz rocznik” !)
 - * imprezy sportowe – wspaniali Absolwenci-sportowcy, kto jak nie Wy potrafili zorganizować spotkanie (imprezę) „My – Oni”; pomocą służą Zakłady

Dydaktyczne

* mamy czym się pochwalić również na niwie kultury – więc do dzieła ! niegdysiejsze tuzy sceny, kabaretu, wieczorków obozowych, toż to żal nie przypomnieć tych chwil i wzruszeń, na przykład w przerwach balu, lub na ekstra imprezie.

Zachęca Komitet Organizacyjny Zjazdu

Wspomnień czar

Moje Studium Wojskowe

Minęło 50 lat od podjęcia przeze mnie studiów na naszej „Słonecznej Uczelni”, a tu piękna uroczystość w Auli Leopoldińskiej UWr – wznowienie immatrykulacji i zjazd naszego rocznika 1954-58, spotkania z Koleżankami i Kolegami, wspomnienia itd. Któryś z kolegów przeglądając zdjęcia sprzed lat, wykrzyknął: panowie, tu wszyscy są w perukach ! Czas zrobił swoje. Ale miło się wspomina.

Na początku roku akademickiego 1954/55 natychmiast wzięło nas w karby Studium Wojskowe, według naszego dowódcy, najważniejszy przedmiot na uczelni. Po kilku tygodniach zajęć okazało się, że oprócz wiedzy ogólnowojskowej, reszta „to gra w wała”, czyli kto z kogo zrobi większego błazna. Ponieważ byliśmy liczniejsi od kadry Studium (nie licząc innych atutów), dowódcy z góry skazani byli na przegraną. Jednym z prowadzących był por. „Świder”, szczupły, niepozorny, w okularach, wiotkiej konstytucji. Na pierwszych zajęciach wydał komendy takim głosem, że popłakaliśmy się ze śmiechu. Później jakoś przyzwyczailiśmy się do tego rodzaju rozkazodawstwa. Właśnie z por. „Świdrem” zdarzył mi się incydent, którego wstydzę się do dzisiaj. Na 3-cim roku, w czasie zajęć z taktyki na poligonie „Zmchu”, por. tłumaczył technikę pokonywania toru przeszkód. Gdy skończył, coś mi odbiło, bo chciałem być dowcipnym więc powiedziałem: proszę to zademonstrować. Należałem do jednych ze sprawniejszych na roku i pokonanie takiego toru przeszkód nie stanowiło dla mnie żadnego problemu. Por. „Świder” popatrzył na mnie i ze spokojem powiedział: żebyś nie był ranny na froncie, czego skutki do dziś jeszcze odczuwam, to bym wam zademonstrował.” Poczułem się okropnie, ze wstydu chciałem zapasać się pod ziemię. Na drugi dzień idąc na uczelnię pierwsze kroki skierowałem do Studium Wojskowego. Zameldowałem się regulaminowo prosząc o prywatną rozmowę z por. Świderskim. Stając przed nim odezwałem się w te słowa: Panie poruczniku chciałem pana przeprosić za moje chamskie zachowanie na wczorajszych zajęciach w terenie, myślałem, że jest

pan fajtlapą i jak pan spadnie z równoważni, to będziemy mieli niezłą zabawę. Może pan w stosunku do mnie wyciągnąć wszelkie konsekwencje, ale proszę o wybaczenie. Zaskoczony por. Świdorski wyciągnął do mnie rękę i powiedział tylko jedno słowo „dziękuję”. Widziałem, że obu nam ulżyło. Gdy już wychodziłem, zawołał za mną, „to jak mnie nazwaliście – fajtlapą? Widać było, że on również przeżył to całe zdarzenie.

Nasuwa się pytanie, kto w tej „grze w wała” czasami wychodził na błazna? Być może cichy, skromny porucznik nieraz uśmiechał się w duchu i to właśnie on nas wypuszczał.

Z tego incydentu wyciągnąłem naukę, że zanim zacznę dowcipkować w pracy, wśród kolegów, uczniów, studentów zastanowię się, czy kogoś nie obrażę.

Wiesław Mach – Rocznik 1954 -1958.

„Strusie Jajo” e tutti quanti – i reszta tego towarzystwa

Wywołany do tablicy przez kilku młodszych kolegów absolwentów, których wojskowe przygody i narzekania na kapraleszczyznę kadry Studium Wojskowego zamieszczamy na łamach Biuletynu, postanowiłem i ja zmierzyć się z tematem i zabieram głos jak gdyby z drugiej strony kurtyny, bo z pozycji kadry.

Obowiązkowe St.Wojskowe w szkolnictwie wyższym wprowadzono w 1952 roku. Pierwszym kierownikiem Studium na naszej WSWF został mjr S. Rzeczkowski, oficer frontowy, dusza człowiek, a przy tym sprawny organizator świeżo powołanego szkolenia wojskowego dla studentów. Pozostałą kadrę stanowiliśmy my – studenci 2-go roku WSWF po szkołach oficerskich w osobach: chorążych Ryszarda Strusińskiego, Antoniego Kaczyńskiego - artyleria, Tadeusza Łopuszańskiego

go – piechota. Pierwszy - „Strusie Jajo” przyjął obowiązki dowódcy kompanii, następni – „Kaczka” i „Łopuch”, dowódców plutonów. Szefem kompanii został stary wyga frontowy, sierżant Bolek Dziedzic. Studentów obowiązywał program szkolenia oficerów piechoty.

Na pierwszą zbiórkę kompania wystąpiła przebrana w zielone robocze kombimezony i w czapkach akademickich – bordowych AM. My chorążowie, dla odróżnienia nosiliśmy wyfasowane furażerki z gwiazdką na srebrnym galonie. Wiara z rocznika doznała szoku, gdy ich wczorajsi, serdeczni koledzy przeobrazili się nagle w dowódców. Nie wyżywaliśmy się specjalnie na kolegach, ale trzymaliśmy dyscyplinę, zwłaszcza „Struś”, tym bardziej, że z braku kadry podoficerskiej – przysłowiowych kaprali, musieliśmy pełnić także i taką rolę. Dowcipnisie komentowali to złośliwie: „te zasr... Ptaki z Łopuchem, dają nam ostro do wiwa-tu”.

Zajęcia wojskowe odbywały się raz w tygodniu, często na terenie ZMECH-u. Takie warunki szkolenia nie mogły dawać zadawalających rezultatów. Wyrównanie poziomu przeniesiono na szkolenie poligonowe w czasie wakacji. Już latem



chor. A. Kaczyński i W. Dyczewski

tęgoż roku studenci, których przewieziono wojskowymi eszelonami na poligon w Wędrzynie, dopiero wtedy poczuli przedsmak prawdziwego wojska. Zostali umundurowani, zakwaterowani w namiotach, otrzymali broń – kbk, zamienione później na peemy, no i menażki itd. Funkcje podoficerskie objęli kaprale z sąsiadującej jednostki. No i się zaczęło.

Nie chcąc przynudzać czytelników szczegółami żołnierskiego dnia, od

pobudki do capstrzyku, przytoczę jedynie kilka co ciekawszych epizodów.

Szybko okazało się jak trudno jest okiełznać rozhukanych i znających się jak łyse konie wuefiaków. Niezbyt bystrych kaprali zgrana wiara wypuszczała w przysłowiowe maliny, doprowadzając ich do szału i bezsilnej złości. Kiedyś jeden z nich w trakcie przygotowywania plutonu do strzelania z „Maksima” – CKM, sprawdzając sprzęt wrzeszczał: ckm je !, munycja je !, tarcze som ? Od tego czasu nosił ksywę; „Cekaemje” Złośliwości studentów spotykały także oficerów. Por. Pająk na zajęciach z taktyki niecodziennym przypadkiem przysypiania kbk piachem przez kopiących okopy studentów, postanowił wyładować się na nich podczas marszu do obozu. Po trzykrotnej komendzie „pluton śpiewa”, skwitowanej milczeniem, huknął: „pluton biegiem marsz”. Oni jakby tylko na to czekali, ruszyli z kopyta jak na setkę i zatrzymali się dopiero gdzieś po kilometry na miejscu zakwaterowania, wmawiając zadyszanemu oficerowi, że nikt nie słyszał komendy „stój”.

Nasza kadra znając możliwości i fortele kolegów, znacznie lepiej radziła sobie z rozhukaną wiarą. Celował w tym dowódca kompanii „Struś”, którego bano się i słuchano bez szemrania, bo niezdyscyplinowanych beszał bezlitośnie. O tym jak zgrani i obrotni byli nasi koledzy niech zaświadczy mój przypadek.

Sprawdzając kiedyś rejon czyszczenia broni, znalazłem porzucony przez Wojtkę Dolacińskiego – „Kozę” peem. Schowałem broń do swojej ziemianki, przezornie zamykając ją na kłódkę. Wezwany do raportu Wojtek usłyszał: „żołnierzu, tylko śmierć na polu walki usprawiedliwia utratę osobistej broni, a że wy żyjecie, zameldujecie się u mnie z peemem, za pół godziny. Punktualnie stawil się przede mną „Kozą” i wyrecytował: „Ob. chorąży, student Dolaciński melduje się z peemem”. Podejrzewając, że wciska mi kit, pokazując broń kolegi, sprawdzając numer ze zdumieniem stwierdziłem, że jednak należy do niego. Z trudem zachowując kamienną twarz oznajmiłem: „nie wiem jak tego dokonaliście, ale chwilowe zagubienie broni potraktuję ulgowo – trzy dni paki, odmaszerować.” Już po capstrzyku, dowiedziałem się, że w odzyskaniu broni pomógł „Kozie” Staszek Siuta, wyciągając peem drutem przez niedomknięte okienko ziemianki. Którejś nocy, zleżały dach ziemianki, którą dzieliłem z „Łopuchem”, runął na jego pryczę, szczęściem nie było go tam wówczas.

Innym razem Zdzychu Sutyło – „Pączek”, otarł sobie stopy buciorami i uzyskał zezwolenie na noszenie trampek. W czasie przemarszu plutonu zauważyłem drobiącego na końcu „Pączka”, w dodatku bez furażerki. „Zgubiłem gdzieś”, tłumaczył się. Tego było dla mnie już za wiele. Zareagowałem ostro: „nie dość, że w pepegach, to jeszcze z gołą pałą,

czy nie wiecie, że żołnierz bez nakrycia głowy na ćwiczeniach jest nieważny?” Kazałem mu zawrócić i zameldować się w bojowym hełmie. Tak mu w ten „gar” przygrzało lipcowe słońeczko, że furażerka zaraz się znalazła.

Minał miesięczny okres szkolenia, któryby można nazwać skróconym kursem rekruckim i oto powrotny eszelon do Wrocławia wiozł już nie jakąś tam cywil bandę, ale zahartowanych w trudzie i przysłowiowym znoju – żołnierzy. Miarowy stukot kół nie mógł zagłuszyć radośnie śpiewanej żołnierskiej piosenki: „Przyszła ta chwila, gdy do cywila, lotem motyla polecimy.”

Drugi poligon, po 3-cim roku studiów, odbył się latem w Sulęcinie. Celem był ostatni szlif i po egzaminie przygotowanie do październikowej promocji. Pomny doświadczeń z poprzedniego poligonu, zgłosiłem się ochotniczo do prowadzenia sąsiadującego z nami plutonu poznańskiego WSWF. Nie znaleźmy się, więc przewidywałem łatwiejszą robotę. Nie pomyliłem się. Poznaniacy, naród zdyscyplinowany, znający z opowiadań ojców pruski dryl, sprawiali mi nieporównanie mniej kłopotów. Bystrzy i sprawni, jak nasi, a trzymanymi krótko szybko opierzyli się i przyswoili sobie żołnierskie rzemiosło. Miałem też bardziej rozgarniętych kaprali. Przytoczę jeden z zabawniejszych epizodów z tego poligonu. Podczas zajęć z musztry wywołałem przed front studenta B. Rybę, który wystąpił przepisowe trzy

kroki. Podałem komendę: „pluton baczność” i taki tekst: „żołnierzu w szeregu rekruci i ryby głosu nie mają, pod tamte brzózki, co 10 kroków granat (padnij) – pękł (powstań), biegiem marsz!” Tupot nóg delikwenta nie zdołał zagłuszyć zgrzytu zębów poznańskiego plutonu.

W metodach, które stosowałem, musiałem nieco przeholować, bo jak się poufnie dowiedziałem od bliskiego mi gimnastyka, że po zakończeniu obozu szykują mi solidną „kocówkę”. Przezornie więc, jeszcze przed zakończeniem szkolenia, udało mi się odmeldować u majora Rzeczkowskiego i odjechać dzień wcześniej.

O sławetnym powrocie eszelonem z wojskiem do Wrocławia, długo jeszcze krążyły legendy. Pozostawieni jakimś cudem samopas nasi wuefiacy dali koncert „na trzy fajerki”. Najpierw „ululali” maszynistę i jego pomocnika, przejęli w swoje ręce lokomotywę i dali „parę”. Widocznie któryś z nich znał się trochę na maszynierii i semaforach, bo do kolizji nie doszło, ale pociąg gwizdał długo i głośno. Potem chłopcy zarepetowali ostrą amunicję i z otwartych wagonów zaczęli grzać z kabekaesów do izolatorów na słupach telegraficznych. Najlepszym snajperem okazał się wspomniany wcześniej Staszek Siuta. Co tam wiara wyrabiała znam tylko z opowiadań, ale podobno zadyma była okrutna. Echo rozróby w pociągu dotarło nawet do D-twa Okręgu, gdzie z trudem udało się majorowi Rzeczkowskiemu całą sprawę zatu-

szować.

W październiku, przed ustawioną na Witelona trybuną, odbyła się uroczysta promocja z udziałem Władz Uczelni i wojska. Studenci – podchorążowie, otrzymali pierwsze stopnie oficerskie, podchorążego. O tej szarży krążyła wówczas złośliwa zagadka: „Jaka jest różnica między chorążym, a kometa?” Odpowiedź: „Kometa jest to gwiazdka z kutasem, a chorąży – vice versa”

Po ceremonii przysięgi (niestety bez udziału szabli) i defiladzie, nowo promowani oficerowie przypięli sobie na naramiennikach i na wyfasowanych na tę okazję czapkach garnizonowych gwiazdki oraz porobili pamiątkowe zdjęcia.

Patrząc na sprawy wojska z dwóch stron scenicznej rampy, jak ułał pasuje tu jako puenta powiedzenie, że punkt widzenia zależy od punktu siedzenia”.

Spocznij

Antoni Kaczyński kpt.rez.

Posłowie.

Po latach ówczesny szef GKKFiT Aleksander Kwaśniewski w towarzystwie v-ce przewodniczącego dr Bogusława Ryby (!), wizytował naszą uczelnię. Na towarzyskim spotkaniu przypomniałem się Bogusławowi Rybie, pytając czy nie żywi do mnie urazy za tę kapraleszczyznę w Sulęcinie? W odpowiedzi usłyszałem: „wtedy, to bym ci nawrzucał, ale dzisiaj wielkodusznie wybaczam”. Dodał też, że miałem nosa wyjeżdżając wcześniej, bo uniknąłem nielichego manta.

Bujny życiorys wuefiaka – część 15

Nowy Jork to miasto kolos o ponad 7 milionach mieszkańców. Ten wielki „kocioł” jest zbiorowiskiem wszelkich narodów, ras i religii. Największymi skupiskami, które przekraczają 1 milion mieszkańców to Murzyni, „Hispanos” (Latynosi) oraz Żydzi, mieszkający w swoich dzielnicach. Polaków skupiających się na „Green Point” jest kilkaset tysięcy.

Nowy Jork o zmierzchu robi niesamowite wrażenie. Drapacze chmur wznoszące się wznoszące się wysoko na tle różowo-niebieskiego nieba i miliony migocących świateł, to niezapomniany widok. Miasto wznosi się na kilku wyspach. Z lotu ptaka widać poszatowany łąd, podzielony rzekami i kanałami. Najmniejszą ale najważniejszą wyspą jest Manhattan, która leży między rzekami: Hudson River, East River i Harlem River. Jest ona centralną dzielnicą NJ. Znajduje się tu Ratusz, w którym urzęduje burmistrz i zarząd miasta. Central Park, to zielone płuca Nowojorczyków, gdzie często spotyka się śpiących na ławkach bezdomnych, truchających ludzi uprawiających jogging. Jest tu wiele pomników, wśród których z dumą oglądaliśmy pomnik króla Władysława Jagiełły. Państwem w państwie są tu „China Town” i „Little Italy”, które trzeba obowiązkowo zwiedzić.

Fifth Avenue słynie z bogatych sklepów, banków, przeróżnych korporacji i firm ubezpieczeniowych. Luksusowe sklepy, takie jak: Dior, Godiva, Jourdan, Trump Tower, Tifany czy Chanel zadowolić mogą najwybredniejszych klientów.

Szczególnie wieczorami widać, że to miasto żyje. Orgie świateł na wystawach sklepowych reklamujących różne towary przyciągają wzrok zwiedzających. W ciągu dnia mijamy klomby kwiatów o przecudnych kolorach. Dalej fontanna z figurą ślicznej kobiety i złoty posąg z postacią na koniu, przed którym kroczy anioł z gałązką oliwną. W ogóle posągów, rzeźb i tryskających fontann jest tu bez liku. Jest też dużo klombów, kwiatów, skrawków zieleni, skaczących wiewiórek, które wcale nie boją się ludzi.

Mijamy kościoły różnych wyznań, których nazw nie sposób zapamiętać. Zwiedziliśmy katedrę św. Stanisława Kostki, której wrota lśniące złotem ozdobione są płaskorzeźbami postaci z życia religijnego. Świątynię tę odwiedził w październiku 1970 wówczas jeszcze biskup krakowski Karol Wojtyła. Również wnętrze kościoła św. Tomasza udekorowane jest złotymi rzeźbami, płaskorzeźbami i różnymi kolumnkami. Na zewnątrz wzrok przyciągają dwie oryginalne wieżyczki.

Na Manhattanie ma siedzibę ONZ. Kopułę budynku i polską flagę powiewającą między flagami innych państw należących do ONZ sfilmowaliśmy na pamiątkę. Byliśmy też na Wall Street gdzie znajduje się najsłynniejsza światowa giełda papierów wartościowych. Tu znajdowały się też ponad 400-

metrowe wieże World Trade Center, zniszczone przez terrorystów. Widać je było z daleka z każdego punktu wokół NJ. Zanim je wybudowano, najwyższą budowlą NJ był Empire State Building (który można porównać z naszym Pałacem Kultury w Warszawie) Na tle tych budowli zbudowanych ze szkła i betonu, to trzypiętrowy kościół św. Mikołaja wygląda jak „liliput”.

Szerokie nowojorskie ulice robią wrażenie wąskich tuneli wśród wysokich drapaczy chmur. O ile ktoś nie ma samochodu może się poruszać słynnymi żółtymi taksówkami (yellow cubs) lub też metrem (subway), które jest bardzo dobrze rozbudowane i za niewielką opłatą można praktycznie dojechać do każdego zakątka NJ. W porównaniu z metrem w Moskwie czy w Kijowie, (które zwiedzałem w czasach socjalistycznych), lśniących czystością, to nowojorskie metro jest bardzo brudne. Na 86 ulicy zjechaliśmy w dół i udaliśmy się metrem w stronę wybrzeża wyspy Long Island, skąd widać słynną Statuę Wolności, którą w XIX wieku Francja podarowała Ameryce jako symbol wolności i sprawiedliwości. Pomnik ten ustawiony jest na 47 metrowym granitowym cokole na maleńkiej wyspie na rzece Hudson. Statua Wolności, to kobiecego posąg z miedzi, symbolizujący rzymską boginię wolności Libertas. Jest wysoka na 46 m i robi olbrzymie wrażenie na zwiedzających. Na skwerach tuż przy ulicy poustawiane są stoliki, gdzie w pogodne dni spotykają się stali bywalcy i przygodni turyści aby o kilka dolarów zagrać w szachy.

Manhattan w północnej części wyspy ma swoją wstydliwą wizytówkę – Harlem – słynne slumsy, w których stare, odrapane i mocno zniszczone domy z pustymi oknami robią odrażające wrażenie. Wszędzie pełno żebrzących biedaków, głównie czarnych i Portorykańczyków. Odradzono mi jazdę samochodem do Harlemu. Jednak górę wzięła przekora i chęć zobaczenia tej dzielnicy na własne oczy. Przestrzegano mnie abym był bardzo ostrożny, zamknął okna i drzwi samochodu od wewnątrz. Taką będę i nędzę Murzynów widziałem już kiedyś będąc na Safari w Kenii. Nie spodziewałem się jednak tego w jednym z najbogatszych krajów świata.

Nowy Jork podzielony jest na pięć dzielnic (county), odpowiedników naszych powiatów. Obok wyspy Manhattan oddzielonej wschodnią rzeką East River, leży duża wyspa Long Island, na której znajdują się dzielnice: Brooklyn inaczej zwany Kings County i Queens County. W slumsach Brooklynu mieszka około 30 % murzyńskiej biedoty miejskiej. Queens zaś zamieszkuje klasa średnia, jest tu więcej przestrzeni i domów jednorodzinnych z ogródkami.

Na Long Island znajdują się trzy najważniejsze porty lotnicze NJ: John Kennedy International Airport, La Guardia Airport i Naval Air Station. Na południu Long Island znajduje się półwysep Coney Island z ładnymi plażami i dzielnicami rozrywki. Tu Nowojorczycy najczęściej spędzają weekendy i

wolne dni od pracy. Na północ od Long Island, oddzielona East River, na łądzie stałym leży dzielnica Bronx. Tutaj znajduje się nowojorski ogród zoologiczny oraz najsłynniejszy w Ameryce stadion „Yankee Stadium”, na którym rozgrywane są mecze base-ballowe. Dzielnica ta słynie z przemysłu, handlu i portów handlowych. Jedna trzecia czarnych obywateli i Portorykańczyków mieszka tu w slumsach. Dzielnica ta oddzielona od Harlemu jedynie rzeką Hudson jest głównym centrum handlu narkotykami i siedzibą najróżniejszych przestępczych gangów.

Wyspa Staten Island, która oddzielona jest od Long Island zwężeniem (The Narrows) zatoki nowojorskiej (New York Bay) to lokum dzielnicy Richmond. Była to najmniej zaludniona wyspa. Dzięki wybudowanemu w 1964 roku mostowi łączącemu Brooklyn z tą wyspą, Richmond wykazuje największy przyrost naturalny ze wszystkich dzielnic NJ.

Nowy Jork to największe centrum kultury i nauki. Tu znajdują się słynne uniwersytety: City University of New York, New York University, Columbia University i wiele innych. Znajdują się tu sławne muzea, a między innymi: Metropolitan Museum of Art, Guggenheim Museum, Museum of the American Indian czy Museum of Modern Art. Tym ostatnim byłem bardzo rozczarowany. Wiszą tam na ścianach olbrzymie „obrazy” w ramach ze znajdującym się w środku maleńkim czarnym punktem lub jedną linią po przekątnej. I to wszystko ! Wystawiono też zwykłą brudną tacekę z papierowym, na pół otwartym workiem z cementem oraz łopata opartą o tacekę.

W Nowym Jorku znajdują się tak słynne biblioteki jak: New York Public Library czy Brooklyn Public Library oraz teatry i opery, które znajdują się na Broadwayu między 42 a 66 ulicą. W Lincoln Center znajduje się nowa Metropolitan Opera, New York City Opera, New York Filharmonic Orchestra, New York City Ballet i inne. Na południe od Central Park znajduje się słynna hala koncertowa Carnegie Hall, zaś w Madison Square Garden odbywają się różne imprezy kulturalne i sportowe.

W Nowym Jorku jest mnóstwo tuneli i mostów, po których pędzi miliony samochodów. W godzinach szczytu stoi się czasem godzinami w korkach, szczególnie w kierunku Stanu New Jersey, gdzie znajduje się też duże międzynarodowe lotnisko Newerck, a także zakłady przemysłowe, banki, wydawnictwa książek, gazet i czasopism, telewizja i inne media dające prace tysiącom fachowców.

Nowy Jork trudno sobie wyobrazić, to trzeba zobaczyć !

Aby to wszystko zobaczyć trzeba tygodni, a nawet miesięcy. Dziwów nie brakuje. Kiedyś widziałem na cokole wielką, czarną rzeźbę przedstawiającą pistolet, którego lufa związana była w węzeł.

Różnicowanie jest ogromne. Dla przykładu szkolnictwo podstawowe i średnie jest na bardzo niskim poziomie. Jest kilka wybitnych ośrodków

naukowych i uniwersytetów, gdzie Amerykanie ściągają wybitnych naukowców z różnych dziedzin z całego świata.

Kiedyś były bardzo popularne dowcipy o Polakach tak zwane „polish-jokes”. W rewanżu Polacy puścili w obieg „kawał” na Amerykanów: „Mały Jim skończył szkołę podstawową, potem High School, następnie College i Uniwersytet, a po zrobieniu doktoratu już prawie nauczył się pisać, czytać i liczyć” Po usłyszeniu tego dowcipu żaden Amerykanin nie powtarzał już „polish-jokes” i nie wyśmiewał się z Polaków.

W następnym odcinku powrót do Europy.

Bogdan Ostapowicz

70-ka Zdzicha i ...

*„Kielichy w dłoń, pijemy za tych na morzu, na lądzie.
To nasza broń – wypij, zanim testament sporządzisz.
Kostuchę goń, dary stołu pańskiego spożywaj,
Kielichy w dłoń - tylko w tej pracy nie odpoczywaj !”*

W sobotę 15 stycznia 2005 roku odbyła się w Chwarstnicy k/Gryfowa, gdzie mieszka nasz kolega Zdzichu Łukaszów, Jego uroczystość 70-lecia urodzin. Wśród zaproszonych było nas czterech z rocznika 1959, gdyż dojechali z Wrocławia nasi najwierniejsi przyjaciele: Mundek Trzęsicki i Kazio Tarkowski, również jak my ze Zdzichem lwowianin. Jubileusz się podwoił, bo Kazio dokładnie tydzień po Zdzichu wyrzwał na świat z łona rodzicielki, podziwiając przedwojenny Lwów.

Czciliśmy godnie, hucznie, do białego rana, naszych jubilatów, zgodnie z cytowaną wyżej zwrotką słynnej piosenki „Elity”, zmieniając szable na kielichy, oczekując od życia tego samego. Oprócz rytmicznych nagrań, mieliśmy własną, żywą muzykę. Moją amatorszczyznę wspierał były zawodowy klezmer jeleniogórskich lokali, brat Zdzicha. Był kabarecik z dziadowską balladą, popisy solowe przy mikrofonie, krótko mówiąc było fajnie, gdy do „boju” ruszyło czterech pełnokrwistych, rozochoconych lwowiaków. Uginający się stół, bukiety kwiatów, serdeczne uśmiechy i werwa, o którą trudno na co dzień, niech dopełnią opisu wydarzeń tej pamiętnej soboty.

Podjęliśmy decyzję wspierania idei październikowej uroczystości immatrykulacji, ściślej jej odnowienia po 50 latach. Kazio musiał uroczystościę przysięgać, że jako członek Zarządu naszego Stowarzyszenia, nie popuści. Myśliliśmy, że co najmniej 50 osób ściągnie do Wrocławia. Odliczając tych co odeszli na wieczną wartę, a doliczając wszystkich „spóźnialskich”, jest to 50 % stanu osobowego. Najsmutniejsze jest to, że od lat zawodzi sam Wrocław. Kochani moi Przyjaciele, na co czekacie ? Zgłoście się do Sto-

warzyszenia, tam jest nasza „mafia”: Marian Klimkowski, Władzio Kopyś, Kazio Tarkowski. Kto ma się zgłosić? Proszę bardzo: Janusz Pohl, Tolek Krupa, Edek Kubiak, Zbyszek Bulak, Donek Mogielnicki, Jurek Lang, Stasio Świąder i inni, o losach których nic nie wiem.

Pozostając z nadzieją jesiennego spotkania, pozdrawiam wszystkich biorących do ręki wspaniałą Biuletyn, całą Redakcję oraz tych, co wzbogacają jego treść.

Staszek Paszkowski

... Mariana

Do dwójki jubilatów świętujących w styczniu 70-kę powinien Stasiu Paszkowski dołączyć rocznikowego kolegę Mariana Golemę, u którego na przyjęciu zjawilo się prawie dwadzieścia radosnych i rozśpiewanych osób. Marian profesor „Słonecznej Uczelni”, szef katedry, zebrał mnóstwo szczerych gratulacji od współpracowników i wychowanków. Nawiasem mówiąc prof. Marian Golema jest rekordzistą Uczelni jeśli idzie o liczbę wypromowanych doktorów kultury fizycznej – grubo ponad dwudziestu.

Poza gratulacjami Jubilat obdarowany został dobrej klasy rowerem, gdyż Jego dotychczasowy stalowy rumak już zaczął mocno kuleć. Bo trzeba wiedzieć, że Marian dba o kondycję i dzielnie pokonuje kilkanaście km z domu na Uczelnię i z powrotem na rowerze. Trasę ma wyjątkowo urozmaiconą – waleń wzdłuż kanału za Stadionem Olimpijskim, przez jaz na drugą stronę Odry, przez lasy i łąki, drugi jaz, przez pola i łąki do Mokrego Dworu. Odziedziczoną po rodzicach „chatę za wsią” wyremontował, przebudował, (większość prac wykonując sam) i zrobił z niej przestronną, a zarazem przytulną „chałupę-wille”.

Wolno stojący dom w ogrodzie, poza innymi, ma tę zaletę, że można swobodnie bankietować bez stukania sąsiadów z boku, z góry lub z dołu. Mając taką swobodę i do dyspozycji niezły fortepian oraz dużo werwy i zapалу, nie żałowano gardeł, i z wuefiackim temperamentem wyśpiewano szeroki repertuar pieśni biesiadnych, obozowych, partyzanckich, od sto lat, pije Kuba, ułani, Kasieńka w okienku, dziewczeczka z laseczka, Maryna we młynie, po płonące ognisko, konie zielone, lato pachnące miętą, cygańskie tabory itd., itp. Solistów nie brakowało, ton nadawała Myszką Grabowska, której dzielnie wtórowali pozostali z byłymi i aktualnymi członkami zespołu „Kalina” na czele. Niestrudzonym akompaniatorem był kolega z Zakładu Gimnastyki Zbyszek Najsarek.

Śpiewy szły gładko, gdyż gospodarz nie skąpił jadła i napitków, i nikogo nie trzeba było zachęcać do tej pracy (wspomnianej w urywku pieśni „Eli-

ty”). Przebojem była staropolska pieśń biesiadna, której refren brzmi”

*„Pij tylko stare wino,
Co liczy trzysta lat
I kochaj się z dziewczyną,
Co ma szesnaście lat.”*

Z winem (i nie tylko) szło nam nawet nieźle, szesnastolatek nie było (na szczęście !)

Uczestnik jubileuszowej biesiady
nieco starszy kolega

Ryszard Jezierski

Wspomnienie o nieobecnych

Bogdan From (1933 – 2004)



Niespodziewanie dotarła do nas wiadomość, że nagle z m a r ł nasz Kolega z rocznika 1955 – 1959 Bogdan, który pochodził z Łęczycy. Zaprzyjaźniłem się z Nim w Opolu, gdzie razem służyliśmy w wojsku w latach 1953-55.

W lipcu 1955 roku, będąc jeszcze w mundurach, zdaliśmy egzamin wstępny na wrocławską WSWF. Ulubioną specjalnością Bogdana była lekkoatletyka. Startował też w mistrzostwach uczelni w gimnastyce. Był sprawnym, wszechstronnie

uzdolnionym ruchowo młodym człowiekiem, który z powodzeniem grał w kosza, siatkówkę i piłkę nożną.

Po ukończeniu studiów nasze drogi się rozeszły. Ja zostałem we Wrocławiu studiując jeszcze medycynę, a Bogdan podjął pracę jako nauczyciel wf w Olsztynie, początkowo w LO, później zaś w Zespole Szkół Budowlanych i następnie w Technikum Elektrycznym. Po kilku latach przeniósł się na Uniwersytet Warmińsko-Mazurski, gdzie awansował na zastępcę kierownika Studium WF.

Pracował z zapalem i z zamiłowaniem, cieszył się poważaniem i uznaniem zarówno wśród uczniów i studentów, jak i kolegów, współpracowników. Był przyjacielski i bardzo lubiany. Po przejściu na emeryturę nie spoczął na laurach, miał najróżniejsze zamiłowania i hobby, ostatnio pasjonował się żeglarstwem. Był aktywnym działaczem PZZ.

Ostatni raz spotkałem się z Bogdanem przed trzema laty w Olszty-

nie. Wspominaliśmy stare dzieje, przeżycia z wojska i z okresu studiów we Wrocławiu. Nawet na moment nie dał poznać, że jest ciężko chory. Zdawał sobie sprawę z poważnego stanu zdrowia, ale nigdy tego nie okazywała ani najbliższymi, ani przyjaciółmi, bo nie chciał nikogo martwić. Jego synowie – Wojtek i Zbyszek, o chorobie swojego ojca dowiedzieli się dopiero przed rokiem.

Zachowamy Go w pamięci jako bardzo koleżeńskiego, uczynnego i uczciwego człowieka, nigdy „nie owijającego w bawełnę”, mówiącego otwarcie co myślał. Był zawsze pogodny, zgodnością znoszący ból i cierpienie. Nasz serdeczny Kolega może być wzorem dla wielu młodych ludzi. Żegnaj Bogdanie!

Bogdan Ostapowicz

Listy

Kochana Redakcjo

Motto: W każdym drzemie jakiś talent,
Owszem, w niejednym nawet chrapie.
J.K. Górecki (Biuletyn 18)

Gratulując sobie pomysłu ponownego, tym razem gruntownego i selektywnego przejrzenia posiadanych Biuletynów stwierdzam, że ich lektura dostarcza mi od nowa nieoczekiwanych wzruszeń, porównywalnych do oglądania starych albumów sprzed lat. Zafascynowany przeniosłem się w tamten wspaniały świat sprzed lat. Zachęcam Koleżanki i Kolegów do zafundowania sobie takiego sposobu „doładowania akumulatorów”. Przeżyłem od nowa znane zdarzenia, głębiej poznałem ludzi tworzących to nostalgiczne piękno.

Kochani, odkryłem prawdę, ściślej mówiąc odważyłem się dopiero teraz podzielić się z nią i przedyskutować na naszym forum. Dzisiaj nasze dzieci i wnuki żyją inaczej, szybciej. Dostęp do wszelkich dóbr postępu cywilizacyjnego i technicznego – telewizja, komputery, internet, telefony komórkowe itd, kształtuje inny, niestety w znacznie bardziej sfrustrowany model osobowości.

Wrocław żył duchem Kresów, głównie Lwowa – serca na dłoni. „Serce batia”, to niewyczerpana pompa braterstwa i przyjaźni.

„O s k a r ż e n i e „

„Oskarżam” miasto Lwów o zamęt w głowie wychowanków pierwszych lat istnienia naszej Słonecznej Alma Mater. Dokonywali tego lwowscy pro-

fesorowie, którzy pełną życzliwości pasją przekazywania wiedzy, nie tylko dydaktycznej, zarazili nas niegasnącą chęcią radosnego obcowania ze sobą, przyjaźni i życzliwości aż do bólu i trwa to już od ponad pół wieku.

W „grupie trzymającej władzę” jest również miasto Wilno, potęgujące tę bezprzykładną, kresową życzliwość. Bezspornie największymi „ofiarami” tych działań są absolwenci Tošku Kaczyński i Ryśku Jezierski, którzy nieopatrznie dali się do Komitetu Założycielskiego naszego Stowarzyszenia. Skorumpowany (bo nie z Kresów) przedstawiciel władzy prof. Tadeusz Bober, pełniący w tym historycznym 1991 roku godność Rektora Uczelni, zainicjował to wspaniałe dzieło pisania historii sercem.

Z lektury Biuletynów wynika, że około 80 % ich treści jest autorstwa Ryśka i Tolka. Są to nie tylko komunikaty, sprawy formalno-redakcyjne, ale świetne wywiady, opisy zdarzeń, wspomnienia o zasłużonych dla uczelni, jej miejsca w życiu Wrocławia i kraju, ale i też coś dla ducha – dowcipne przedruki, a nade wszystko własna twórczość obdarzonego wszechstronnym talentem Tola Kaczyńskiego. Pod Jego wpływem kwitnie i moja „częstochowska rymolada”. Oto przykład, właśnie o Nim:

Otwarty i szczery do bólu, lubi iść na skróty,
Wali prosto z mostu, z pruderii wyzuty.
Talentów wszelkich niebiosu Mu nie poskapiły,
Nikt nie wie skąd ma zapał i tyle siły.
Fraszka, czy flaszka – no i co pan powi ?
Z atencją niekłamną przyglądam się Toškowi.
Z sercem kresowiaka daje nam siebie,
Poczesne ma tu miejsce, bliskie tronu w niebie.

W Kolegium redakcyjnym jest też „młodzież” – Krzysio Słonina – „Słoni”, zwiastun, nadzieja, że ożywią się młodsze roczniki, zapełnią szpalty Biuletynu, a nadmiar materiałów będzie głównym problemem Redakcji. Tu odsyłam do zaprezentowanego na wstępie motto.

Wracam do „oskarżenia”, oto moje subiektywne dowody.

Moim największym z wielkich był prof. Franciszek Wandokanty, rodowity Lwowianin. Nudnawą dla przeciętnych zjadaczy chleba chemię, potrafił przekazać wręcz fascynująco, mając zawsze pod ręką mnóstwo dowcipnych skojarzeń z życia wziętych. Każdy od razu wiedział „z czym się to je”. Każda chwila i miejsce były okazją do dowcipnego przekazania wiedzy.

Drugim wielkim był prof Andrzej Klisiecki, pierwszy i największy w historii Uczelni. Oczywiście też Lwowianin, otoczony aureolą szacunku, ale i ciepła wyrażanego w wypowiedzianym przydomku „Dziadek” – jak do Piłsudskiego.

Następnymi z kolei Lwowiakami byli: prof. Tadeusz Marciniak, prof. Czesław Niżankowski, o których krążyły dziesiątki anegdot i zabawnych historii.

Prof. Marian Weinert, urodzony w Stryju, gimnastyk „Sokoła”, nauczyciel wf po CIWFie, pracował w Borysławiu koło Lwowa, a na Uniwersytecie Jana Kazimierza ukończył studia prawnicze. W latach 60-tych uganiałem się z a Profesorem chcąc uzyskać Jego podpis na dyplomie, jako przewodniczącego komisji egzaminacyjnej. Pamiętam do dziś to uroczne spotkanie w Jego mieszkaniu na ul. Parkowej.

A prof. Jan Konopnicki, choć urodzony i pochowany w Krakowie, też przeżył duchem Wschodniej Galicji, podejmując wieloletnią pracę w Seminarium Nauczycielskim w Stanisławowie, później w Gródku Jagiellońskim i we Lwowie, gdzie wybuch wojny uniemożliwił Mu pracę na stanowisku inspektora szkolnego. Wspaniały, o wielkiej kulturze słowa i osobistej, człowiek. Przyjął mnie życzliwie na „magistrat” z pedagogiki, po rozczarowaniach psychologią, a raczej jej egzotycznym wykładowcą. Z racji wyboru tematu pracy magisterskiej, miałem przyjemność kontaktowania się z asystentem prof. Konopnickiego mgr Henrykiem Ziobro. I co? Też swojak, urodzony w Żółkwi k/Lwowa. Bolesław Dziedzic, Adam Haleczko, Ryśku Antkowiak, Kaziu Władyka powiększają listę świadków „oskarżenia”. Oni, jak i inni nie wymienieni przeze mnie dołożyli cegiełkę przyjaźni i życzliwości w budowie wspólnego domu.

A teraz Wilno. Żmudzianka, nasza wspaniała Zofia Dowgird, ogrom serdecznej życzliwości, przyjaciół wszystkich, matkowała „młodzieży” – swoim wychowankom. Przy tym wspaniała organizator. Myślę, że nie rozminę się z prawdą stwierdzając, że wychowała godnych następców „wileńskiej grupy trzymającej na Uczelni władzę”: Tolka Kaczyńskiego, Staszka Maksymowicza, Myszkę Trzeciak-Grabowską.

Tadeusz Bober, Bogdan Czabański, Zbigniew Naglak, Bolesław Słupik, Ewaryst Jaskólski, Stefan Stachelski, Jerzy Fidziński i inni (za moich czasów asystenci), to pokolenie które przejęło wzorce osobowościowe od wspaniałych pionierów Uczelni.

Składając hołd zmarłym, żyjącym życząc wszelkiej pomyślności stwierdzam, że miasta Lwów i Wilno, które wydały tak wspaniałych ludzi wpisanym w historię „Słonecznej Uczelni” należy skazać na wieczną o nich pamięć.

*Wdzięczny wychowanek
Stach Paszkowski*

Dziękujemy Tobie Staśku

Ze wzruszeniem i pewną dozą zażenowania czytaliśmy Twój list. A my staramy się tylko w miarę solidnie wywiązywać z przyjętych na siebie obowiązków. Zadałeś sobie trud przewertowania całego zresztą wspólnego dorobku. Cieszy nas, że nazwałeś to „ładowaniem akumulatorów”. Wzruszyło nas także przypomnienie dostojnej plejady naszych nestorów i luminarzy nauki. Byli to i nasi mistrzowie, od których czerpaliśmy wzory postępowania. Gros tych wybitnych postaci wywodzi się z solidnej lwowskiej szkoły i częściowo z Wilna. Chciałoby się za „Dziadkiem Piłsudskim” powiedzieć o kresach, że jak w obowiązek w przeciwieństwie do pustego środka, wszystko najlepsze jest na obwodzie.

O drugim rzucie kadry piszesz nie mniej ciepło, a czytając strofy o sobie, śpiekłem raka. To niemalże panegiryk „Ta stary nie rób sadzy, ani jemu sztecem”. Tymczasem my pracujemy wspólnie, zespół... ze znaczną przewagą na korzyść Rysia Jezierskiego, który będąc lokomotywą zestawu jest nie do pobicia.

Łamy poprzedniego biuletynu i Ty wzbogaciłeś swoimi wierszami. Te liryki o jesieni są wręcz znakomite. I nie jest to z naszej strony forma eleganckiego rewanżu, ale naprawdę tak je powszechnie odebraliśmy.

Jest w nich zaduma, wielka wrażliwość na piękno natury i głęboka refleksyjność. Oczekujemy dalszych, może zgodnie z porami roku – idzie wiosna.

Staszku, Ty szczerzy Lwowiaku. W podzięk za ciepło skierowane do nas słowa, przesyłamy Ci razem Biuletynem album „Grafik Lwowskich” z dedykacją ich autora i także kresowiaka.

Antoni Kaczyński

Fraszki

Fraszki z cyklu „Rozterki duszy i ciała”

Uczeń Platona

Zapatrzony w chmury uczeń Platona
Zapomniał, jak się dobrać do dziewczeczki łona.
Ciągle jej do uszka szeptał czułe słowa,
Aż mu się koniuszek dokładnie popsował.
Krótko mówiąc – przeintelektualizował.

Nieproszony gość

Czasem przyjdzie pan Ambaras
Gdy pan z panią zechcą naraz.

Koło fortuny

Sercem jestem z Wami,
Dusza do lotu gotowa.
Ciało zostaje w domu-
- Dziura budżetowa.

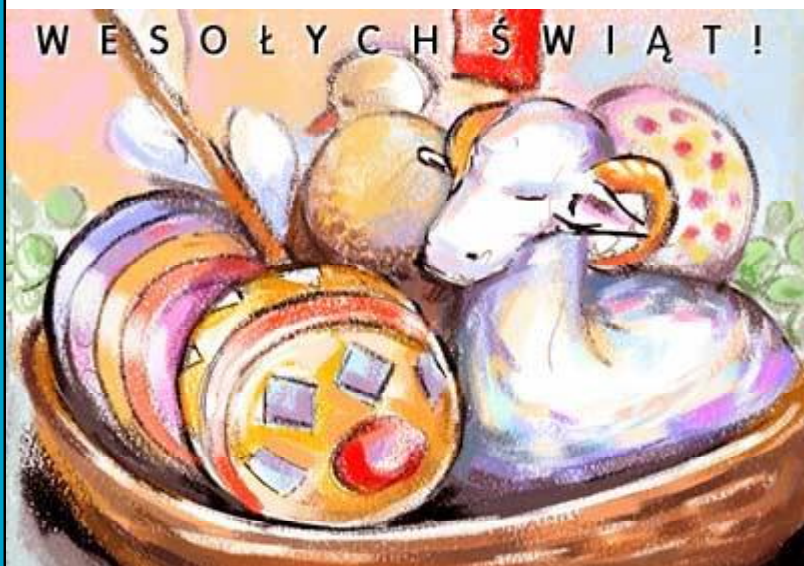
Stanisław Paszkowski

Fotoreportaż ze spotkania Rektora z Seniorami



foto: Nawara





Smacznego jajka !!!

Życzy Zarząd
Stowarzyszenia Absolwentów